

Opłata pocztowa uliczona ryczałtem

WIAS

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI

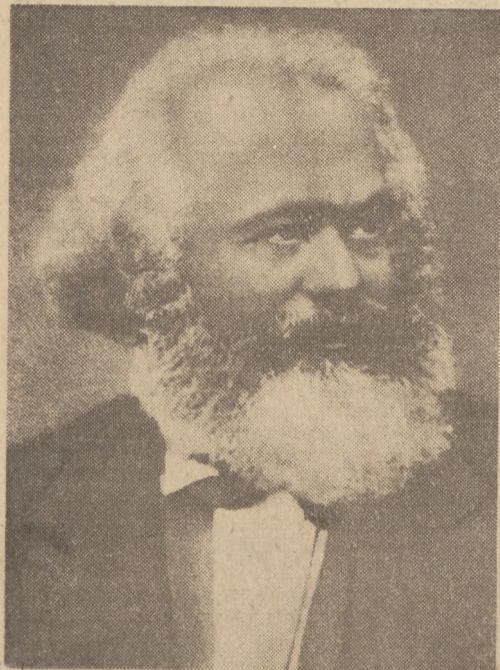
Łódź, 1 maja 1949 r.

Nr 18 (197)

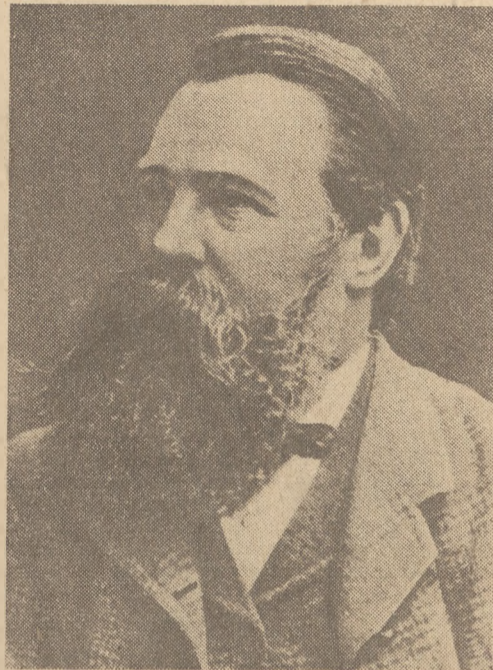
W NUMERZE

między innymi:

- T. Orlewicz — Do mobilizacji sił pokoju.
M. Zmigrodzka — Kultura dla jutra.
L. Łakomy — Imiona wołające o pokój.
1 Maj (1892—1905) — 1 Maj (1918—1939).
P. Korzec — Łódź przed 1905 r.
Cz. Zieliński — Moja droga.
B. Brecht, J. Cotter, J. Miller, T. Różewicz, W. Wirpsza, Z. Stolarek — wiersze.
Wł. Kowalski — „Wino” (frag. powieści).
J. Kuczyński — Dwie nauki — dwa światy.
K. Kewes — Wojna w Indochinach.
J. Witowska, M. Kościńska, J. Pogan — wypowiedzi.
St. Pięta — Pierwsza orka.
M. Niewiarowski — Zaczarowana tokarnia.
W. Jermilow — Radzieckie powieści o wsi.
K. M. Nedelković, W. Jedlicki — recenzje.



Karol Marks



Fryderyk Engels



Włodzimierz Lenin



Józef Stalin

Olbrzymek

NAD „KAPITAŁEM”

Dziesiąty pawilon był otoczony legendarną tajemniczością w masach robotniczych, na tych jednak, którzy w nim siedzieli nie robił specjalnego wrażenia. Nie zrobił go i na mnie, przeciwnie podobał mi się jako więzienie. Otrzymałem dużą, jasną i czystą celę, w której znajdowało się łóżko z czystą pościelą, stół, stołek, dzbanek z wodą. Było to umeblowanie najzupełniej wówczas wystarczające. Trzy razy dziennie otrzymywałem bardzo przyzwoite jedzenie, jakiego nie miałem całymi miesiącami na wolności w ciągu dwóch lat nielegalnej pracy. Ci towarzysze, którzy miesiącami i latami pracowali w nielegalnych warunkach o głodzie, nie mając pojęcia, gdzie i jak będą nocować, zrozumieją napewno, że więzienie nie tylko nie zrobiło na mnie przygnębiającego wrażenia, lecz przeciwnie — byłem z niego zadowolony, jako z odpoczynku, który mi się słusznie należał i czułem się dobrze. Przede wszystkim miałem własny pokój. Coprawda zamykał się on trochę za mocno, ale nie można przeczyć za wiele wymagać.

Z początku dużo spałem i jadałem wszystko, co przynoszono. Spałem jednak po piekarsku, tj. bardzo czujnie; miałem się na baczności, bo przypomniałem sobie opowiadanie, że bandarmi podsłuchują w nocy, czy więźniowie nie mówią przez sen, czasem wprost ze snu biorą na badanie. Czy podsłuchiwali — nie wiem, sądzę, że nie, a na badanie nie wołali mnie w nocy ani razu. Na drugi dzień zażądałem książek. Przynieśli mi Balzaka „Trzydziestoletnią kobietę”. Pamiętam doskonale, gdyż była to pierwsza książka tego autora, jaką czytałem. Przeczytałem z przyjemnością, choć nie wszystko zrozumiałem, przeżył i cierpienia bohaterki. Następnie przyniesiono mi utwory H. Rzewuskiego. Były to rzeczy cuchnące kadzidłem i gromnicą i najbardziej głupie ze wszystkich, co kiedyś czytałem z polskiej literatury, ale nie mając wyboru, musiałem czytać co dawali, gdyż wybierać sobie z katalogu nie pozwalano...

Po pewnym czasie otrzymałem pierwszą „wałówkę” — trochę bielizny i dwie książki: I tom „Kapitału” Marksa i „Zarys kultury piewotnej” Zybera — obie w języku rosyjskim. Był to trochę za ciężki bagaż na moje słabe siły. Ale sam fakt, że ci towarzysze inteligenci uznali za możliwe przysłać mi „Kapitał” — sprawił mi ogromną przyjemność. Postanowiłem czytać te książki powoli i uważnie, nie tak jak się czyta beletrystykę, nie więcej jak dwie ranne godziny. Resztę dnia zaczytywałem się najcenniejszymi utworami literatury europejskiej (tak się zdaje się nazywały) — wydawnictwami Biblioteki Warszawskiej. Były to przekłady Szekspira, Szyllera, Woltera itp...
...Po badaniu nie myślałem wcale o sprawie i możliwości kary i było mi obojętne, ja-

Fragmenty z Olbrzymka „Wspomnienia starego robotnika z lat 1893—1918” podaliśmy w nr 8 (187) „Wsi”. Ukazywały one etapy drogi proletariatu do pełnej świadomości klasowej. Wspomnienia Olbrzymka, podobnie jak pamiętniki Rudnickiego, stanowią „wielki życiorys” klasy robotniczej Polski od schyłku w. XIX.

Wyjątek zatytułowany przez Redakcję „Nad Kapitałem” przedstawia częste w ówczesnych stosunkach zjawisko „studiów więziennych” aktywisty robotniczego. Więzienia we wspomnieniach działaczy rewolucyjnych występują często w podobnej funkcji: miejsca pozornego wypoczynku po wyczerpanej harówce, głodzie i poniewierce życia nielegalnego. Pokolenie działaczy rewolucyjnych nie marnowało ani jednej chwili życia. Mieli zburzyć gmach despotyzmu i w przyszłości mieli odrobić wiekowe zapóźnienie swej klasy odrzuconej od wszystkich zdobyczy kultury ludzkiej.

Więzienie, stanowiąc przymusową pracę w walce, każe im wyzyskać czas na naukę. Oczywiście znośne warunki więzienne, jakie opisują Olbrzymek, Włostowski czy Rudnicki w II tomie swej książki, zwłaszcza w głębi Rosji w okresie reakcji po 1905 r., gdzie władze prześladowały i szykanowały więźniów. Poza głodem, ciężką pracą w warsztatach więziennych, biciem przy ładzie okazji — wyrafinowaną torturą było zamykanie więźnia politycznego w jednej celi z kilkoma kryminalnymi, którzy znęcał się nad nim systematycznie.

ki wyrok otrzymam. Wiedziałem bowiem, że w najgorszym razie zostanie zesłany na Syberię, gdzie spotkam twarzyszy i będę mógł się uczyć. Przede wszystkim starałem się uczyć. Brzmi to dość poważnie, lecz w rzeczywistości wyglądało to o wiele skromniej — było to tylko uważne i sumienne czytanie. Zabrałem się do Marksa. Zyber nie wiele mi pomógł do zrozumienia „Kapitału”. Nie czułem nawet tej obawy i nieśmiałości, o jakiej mi opowiadał tow. inteligent, którzy przecież przed „Kapitałem” czytali coś niecoś z ekonomii politycznej. Byłem pod tym względem w stanie zupełnej „dziewiczości” — nie miałem najmniejszego pojęcia o ekonomii politycznej, nie znałem nawet terminologii. Poza tym miałem pewne trud-

ności z językiem rosyjskim. Znaczenia wielu słów i określeń musiałem się tylko domyślać, gdyż nie było kogo o nie zapytać. Po bardzo powolnym i pracowitym przeczytaniu kilku pierwszych rozdziałów przyszedłem do przekonania, że nic najzupełniej nie rozumiem. Czytałem jednak dalej. Zacząłem się trochę orientować dopiero przy czytaniu dalszych rozdziałów, gdzie jest mowa o kupnie i sprzedaży siły roboczej, bo te sprawy trochę znałem praktycznie. Przypomniałem sobie obliczenia zysków mojego majstra, jakie robiłem przed pierwszym strajkiem piekarskim w r. 1897 i łatwo zrozumiałem, że zyskiem jego była nieopłacana wartość naszej pracy. Nie umiem opisać, jak bardzo ucieszyło mnie to proste odkrycie, że i ja naresz-

cie będę mógł coś zrozumieć. Niemniej radość sprawiło mi cytowane przez Marksa sprawozdanie komisji, badającej warunki pracy w piekarniach londyńskich. Setki razy z radością powtarzałem cytowane przez Marksa łacińskie przysłowia: „w tej bajce jest mowa o tobie, zmieniono tylko imię”. Naprawdę mnie to radościło, że śpiewałem, naprawdę tak, jak rosyjscy liberałowie marsylianek, tj. aby nikt nie słyszał. Cieszyłem się jak dziecko, że w niedostępnej zdawałoby się dla mnie książce znalazłem bardzo wiele rzeczy, które znałem i rozumiałem. Wiedziałem, że była to zaledwie kropla w porównaniu z tym, co trzeba było jeszcze zrozumieć i przetrwać. Chwilami odczuwałem brak kogoś, z kim mógłbym się podzielić radością i myślami. Ale były to tylko chwile. W ogóle nie żałowałem, że jestem i muszę być sam — nie trzeba było bowiem tracić czasu na bezpożądane i zbyteczne rozmowy. Miałem możliwość w zupełnym spokoju myśleć i przetrwać tę masę wiadomości, jaką czerpałem z czytanych książek. Czasami chodziłem po celi, jak lunatyk albo pijany, niezupełnie zdając sobie sprawę z tego, gdzie jestem.

W tym czasie dostałem Szekspira i poetów łacińskich. Szczególnie mi się podobał Lukrecjusz i niektórych jego wierszy nauczyłem się nawet na pamięć. Czytając Szekspira, dziwiłem się, że taki mędrzec zajmuje się tak bagatelny sprawami, jak miłość i samobójstwa szlachty włoskiej lub też tajadactwa królów. W „Romeo i Julii” podobał mi się tylko zakonnik, hodujący kwiaty, Hamlet zaś nie podobał mi się wcale. Nie byłem jeszcze wtedy w stanie zrozumieć, że wszyscy ci Hamleci i Kapuleci oraz ich cierpienia potrzebne były Szekspirowi jako narzędzie, przy pomocy którego wypowiadał on swoje głębokie myśli. Pojąłem to dopiero trochę później. Czytałem wyjątki z „Pieśni nad pieśniami”, z „Firduzi” itd. i im więcej tych cudownie pięknych rzeczy czytałem, tym większa ogarniała mnie wściekłość, że są one prawie niedostępne dla robotników. Prawda, znałem robotników, którzy czytali i znali! bardzo dużo utworów, o jakich ja nie miałem nawet pojęcia, lecz rezultatem tego „czytania” była nieaktywność rewlucyjna, a niestrawność mózgową, dziecinne poszukiwanie jakiegoś boga, prawdy itp. oraz pisanie kiepskich i nikomu niepotrzebnych wierszy. Było to oderwanie się od życia. Zamiast walki z podłością — kompres na miejscu, po których biją.

Ja również bałem się „przedzenia” i „niestrawności”. Bałem się, że nie zdążyę przetrwać tego, co czytałem. Lecz w stosunku do tych, co chorowali, miałem tę przewagę, że, jak i większość ówczesnych robotników — towarzyszy, dochodziłem, choć powoli, z wielkim trudem, lecz za to samodzielnie do zrozumienia przeczytanych książek. Oni zaś (np. Czarniecki szewc i Rychter piekarz) otrzypywali to zrozumienie od swoich nauczycieli, a więc z pewną przyprawą. Ja czułem mocny grunt pod nogami — wiedziałem, dokąd idę, potrzebne mi było tylko ogólne u-

Redakcja

Dni 191052

zasadnienie i starałem się je znaleźć w książkach, jakie czytałem.

Czas schodził mi bardzo szybko, choć pojęcia nie miałem, jak długo będę siedzieć. Zandarmi jakby zapomnieli o mnie — pozostawili mnie w spokoju, nie wywoływali mnie na badania, aż do września 1904 r. Tymczasem czułem się bardzo dobrze, czytałem i pochłaniałem książki. Główną masę przeczytanych wówczas książek stanowiła beletrystyka. Co one mi dały? Przede wszystkim pewną znajomość języka polskiego, następnie pojęcie o ideologii polskiego mieszczaństwa, burżuazji, gnijącej szlachty oraz ogólne pojęcie

o literaturze europejskiej, tzw. klasykach. To było dość dużo. Główną jednak rzeczą była ewangelia — „Kapitał”. Czytałem go powoli i aby lepiej zrozumieć i utwalić sobie w pamięci, całymi stronkami tłumaczyłem na język polski. Jak sobie przypominam, czytanie to trwało kilka miesięcy.

Nauka marksizmu przychodziła mi z trudnością, przede wszystkim dlatego, że zacząłem go studiować bez żadnego przygotowania. Twierdziłem jednak, że zasadnicze podstawy tej nauki przetrzymałem i zrozumiałem. Zrozumiałem po pierwsze, co znaczy „być określa świadomość człowieka”, gdyż moja świadomość

klasowa, jak i świadomość klasowa setek tysięcy robotników powstała przy nieludzkociękiej pracy, pod uderzeniami trzciny lub szprajzla^{*)}, podczas nieprzespanych nocy (czego nie byli w stanie zrozumieć dość niegłupi nawet towarzysze, którzy do ruchu przysłąi z zewnątrz). Następnie, że ustroje społeczne nie są wytworem jakiejś dobrej czy złej

*) Szprajzel — z niemieckiego, cienkie polano drzewa długości 1 metra, używane specjalnie do palenia w piekarniach.

woli, bogów czy ludzi, lecz tylko i jedynie wynikiem stosunków wytwórczych danej epoki. Zrozumiałem również, że akuszerka, która ułatwił poród nowego ustroju, to siła, a siła ta będzie i być musi klasa robotnicza. I choć słabo rozumiałem mechanikę ustroju burżuazyjnego u Marksa, miałem jednak wrażenie, że właśnie Marks odkrył „przyczynę przyczyn” tu na ziemi, nad którą tak dużo i tak niepotrzebnie męczyły się uczone krety, w bezsilności swej apelujące do nieba, skąd im pokazywano dużą figę...

Olbrzymek

Tadeusz Orlewicz

Do mobilizacji sił pokoju

Ponad 600 milionów ludzi na świecie buduje ład socjalistyczny w swoich suwerennych gospodarczo i politycznie krajach. Te miliony, czerpiąc natchnienie z Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej oraz z imponujących doświadczeń państwa radzieckiego, rozbudowują skutecznie bazy produkcji socjalistycznej i gwarantują coraz lepsze bytowanie dla siebie i swoich rodzin.

Związek Radziecki mimo zniszczeń wojennych był pierwszym państwem na świecie, który zniósł zaopatrzenie kartkowe, a w ciągu ostatnich kilkunastu zaledwie miesięcy dwukrotnie dokonano tam obniżek cen na podstawowe artykuły powszechnego użytku.

Zarządzenie z grudnia 1947 roku spowodowało dalszy wzrost siły nabywczej rubla oraz wzrost płac realnych, które w roku ubiegłym osiągnęły ponad 200% wskaźnika płac realnych z roku 1947. W konsekwencji ludzie radzieccy w ciągu ubiegłego roku zyskali ogółem 86 miliardów rubli, czyli o tę imponującą sumę podniosły się ich możliwości nabywcze. Ostatnio byliśmy świadkami nowej zniżki cen, wahającej się od 10 do 30% na poszczególnym artykule. Dzięki tej nowej obniżce cen ludzie radzieccy zyskają w ciągu roku dalsze 71 miliardów rubli, bowiem o taką kwotę zmniejszają się ich wydatki na zakup artykułów powszechnego użytku.

Dowodem, jak rośnie dobrobyt materialny w ZSRR są wyniki wykonania planu państwowego. Wyniki te stwierdzają, że ilość sprzedanych ludności artykułów przemysłowych i spożywczych w roku ubiegłym znacznie wzrosła w porównaniu z rokiem 1947. I tak np. spożycie cukru wzrosło dwukrotnie, ilość sprzedanych tkanin bawełnianych jest wyższa o 56%, a obuwia o 45%. Popyt rośnie szybko i obejmuje swym rosnącym zasięgiem nie tylko żywność, odzież lub obuwie, ale także przedmioty, jak rowery, motocykle, aparaty radiowe, porcelanę, kryształy itp.

To wszystko dzieje się dlatego, że w kraju narodu stu narodów nie ma kapitalistów i obszarników, a więc nie istnieje wyzysk człowieka przez człowieka. Dzieje się to dlatego, że w socjalistycznej gospodarce planowej nie ma nędzy, bezrobocia i obawy ludzi pracy o dzień jutrzejszy. W ustroju socjalistycznym panuje zasada: „od każdego według jego uzdolnień, każdemu według jego pracy”. Zasada ta zapewnia doskonale zharmonizowane interesy indywidualnego z interesem społecznym, stwarzając zainteresowanie materialne każdego robotnika w wynikach jego pracy, w wynikach produkcyjnych warsztatu, w którym pracuje i w wynikach całej gospodarki narodowej. Dzięki takim założeniom każdorazowe osiągnięcia produkcyjne pomnażają elementy wzrostu dobrobytu rzesz pracujących.

Podobnie rzecz dzieje się w krajach demokracji ludowej, wznoszących zręby ustroju socjalistycznego. I tu dzięki gospodarce planowej i podstawowym reformom gospodarczo-społecznym lud pracujący pod przewodnictwem klasy robotniczej wymaga produkcję poprzez współzawodnictwo i świadomy entuzjazm walki o wielką sprawę, a wzmagając produkcję uwielokrotnia strumień towarowy, a z tym zwiększa możliwości nabywcze świata pracy. Walce o produkcję, dobrobyt i socjalizm towarzyszy nieustanna walka o likwidację resztek kapitalizmu i w miastach i na wsi.

W Związku Radzieckim i w krajach demokracji ludowej od Bałkanów po koło arktyczne, od strefy radzieckiej Niemiec po Alaskę i Jang-Tse-Kiang, budują ludzie pracy dla siebie swoim wysiłkiem nowy dostatni gmach szczęśliwego jutra, służąc przykładem dla milionów ludzi, gnębionych przez wyzysk kapitalistyczny. Te milionowe rzesze ludzkie, robotnicze i chłopskie, stanowią zasadniczy ośrodek światowego pokoju i postępu, walcząc z rodzimym kapitalizmem i imperializmem. Klasy robotnicze zrywają wciąż wędzidła niemości produkcyjnej państw kapitalistycznych. Wędzidło katastrofalne dla gospodarki tych krajów i dla ludzi pracy, hegemon imperializmu, Stany Zjednoczone, posługując się planem Marshalla, sprawiają, iż na zachodzie Europy pogłębia się zubożenie rzesz pracujących, rośnie w przerażających rozmiarach bezrobocie i to zarówno całkowite jak i częściowe, wzrastają ceny na artykuły masowo zapotrzebowania, a więc spada realna płaca robotników i pracowników umysłowych.

We Włoszech już w grudniu ub. roku było 2.161.271 zarejestrowanych bezrobotnych, a w końcu marca br. ponura ta liczba podniosła się znnowu o dalsze 300 000. Wielka Brytania miała 359.000 bezrobotnych, a więc o 20% więcej niż w roku 1947. Mała Belgia liczyła 252.751 bezrobotnych, co stanowi przeszło 13% wszystkich ubezpieczonych pracowników belgijskich. Francja, królik eksperymentalny współczesnej agresji imperializmu północno-amerykańskiego, podwoiła w ciągu roku oficjalną liczbę bezrobotnych. „Bizonia”

liczyła 750.000 bezrobotnych, a ostatnio przekroczyła 1 milion. Te wszystkie cyfry, przerażające w swej wymowie, są podane w wielokapitałistycznym piśmie angielskim „Daily Mail” i napewno uległy przed ogłoszeniem zmniejszającemu retuszowi, bo mówią tylko o danych oficjalnych, a milczą o istotnym bezrobociu całkowitym i bezrobociu częściowym.

Niezależnie od klęski bezrobocia, która dławiącym ciężarem spada całkowicie na barki klasy robotniczej, obserwujemy w tych krajach nieustanny wzrost cen. W Wielkiej Brytanii wskaźnik cen wykazuje wzrost 65 proc., a w ślad za spadkiem zarobków realnych świat pracy mógł kupić w roku ubiegłym o 16% mniej odzieży, o 23% mniej przedmiotów gospodarstwa domowego, niż w roku 1946, a przeciętna norma dziennego wyżywienia jest niższa od przeciętnej przedwojennej co najmniej o 22%. We Francji oficjalny wskaźnik cen detalicznych skoczył w okresie grudzień 1947 r. — styczeń 1948 r. o 7%, a dla artykułów żywnościowych o 12%, mimo rzekomych starań rządu Queuille'a o obniżkę cen. Niski poziom płac, zamykanie zakładów pracy lub ograniczanie ich produkcji, jak to się dzieje pod dyktando USA we wszystkich krajach marshallowskich, w Belgii również jest przyczyną dalszego zniżania możliwości nabywczej olbrzymiej większości ludności kraju. Fala drożyzny przybiera na sile i podczas gdy oficjalny wskaźnik cen w roku 1947 opiewał na 350 — 420 (rok 1938 = 100), to ostatnio szereg artykułów przekracza znakomicie ten wskaźnik, jak np. oliwa (600), tłuszcz wołowy (700), węgiel (510), tytoń (505) itp.

Ze zubożeniem klasy robotniczej, z ogólnym zubożeniem kraju kontrastują rosnące zyski kapitalistów, zarabiających olbrzymie fortuny na wyzysku robotnika i na frymarczeniu suwerennością gospodarzą swoich

Maria Żmigrodzka

Kultura dla jutra!

Tradycje walki ideologicznej proletariatu polskiego sięgają ostatnich dziesięcioleci XIX w. Słaby początkowo nurt ideologii rodzącej się klasy, tłumiony wszelkimi środkami przez antagonizującą klasę panującą, tendencyjnie niedostrzegany przez ideologów burżuazji, torował sobie drogę wolno i z trudem, ale nieustępliwie. Trudno uchwycić z pozoru, uparcie przemilczany przez pisarzy mieszczańskich był zjawiskiem rozstrzygającym o dynamice kulturalnej epoki. Początki ruchu proletariackiego przypadły na lata triumfu ideologii burżuazji polskiej: przełom lat 70-tych — 80-tych jest okresem szczytowego rozwoju pozytywizmu, który zresztą wkrótce już podkopany wewnętrznymi sprzecznościami systemu, poczyni się chwiać i rozkładać. Krytyka pozytywizmu, bezwzględnie, nieprzejednane potępienie jego zakładania, demaskowanie klasowego sensu filantropii i moralizatorstwa, to jedna z najwcześniejszych rozpoczętych antymieszczańskich kampanii lewicowej publicystyki polskiej. Już pierwsze, nielegalne pisma „Proletariatu” drwiły ze „świętych pracy narodowej, jakim mianem cieszy się u nas każda nowa knajpa”. Pamiętnikarz robotniczy Olbrzymek z pasją nieucie praktykę społeczną „organiczników”.

Kultura proletariacka w okresie, w którym emancypowała się spod opieki „starszych braci w jednej narodowej rodzinie”, posiadała oblicze zdecydowanie polityczne. Proletariat, rozporządzający nowoczesną wiedzą o rzeczywistości, obnażał ostro mechanizm historii, nie posługując się przy formułowaniu swych interesów klasowych i dążeń politycznych językiem wzniosłych metafor i skomplikowanym kostiumem ideologicznym. Walka polityczna rozstrzygała o obliczu kultury proletariatu z okresu zmagania z klasową dominacją burżuazji. Partią była ośrodkiem dyspozycyjnym życia mas robotniczych.

Proletariat musiał etapami wydzierać wrogię klasie wszystkie narzędzia walki ideologicznej. Wbrew organicznicowskiemu hasłu „oświaty ludowej” samouctwo robotnicze nie tylko rzadko spotykało się ze zrozumieniem i pomocą, lecz przeciwnie, traktowane było zdecydowanie wrogo. Samodzielnie wybrana świecka książka w rękach robotnika staje się nieraz okazją do pierwszego protestu opękanym moralnych. rzuca cień na reputację robotnika, podrywa wiarę w jego solidarystyczną uległość. Fakt ten notują nie tylko pamiętnikarze proletariacki z lat 80-tych i 90-tych. Książka długo pozostawała symbolem panowania klasowego. Okupacyjne wspomnienia Pogana, szykanowanego przez jego ziemiańskich chlebobawców za uparte samouctwo, są wymownym przykładem długowieczności pojęć o monopoli kulturalnym klasy posiadającej. Książka w ręku robotnika była w indywidualnych biografach wielu działaczy robotniczych pierwszym e-

tapem buntu, pierwszym stopniem uświadomienia klasowego, pierwszym wstrząsem niweczającym misterne uzasadnienie moralne wyzysku. Stąd niespotykany w dziejach kultury samokształceniowy zapał aktywistów robotniczych, stąd zmuszające do szacunku osiągnięcia ludzi, którzy, pozbawieni elementarnego przygotowania naukowego, zdobywają wśród pracy i walki rozległe wykształcenie i oczytanie. Rudnicki przypomina, jak studiując w więzieniu pasjonująco go dzieło z zakresu socjologii drżał, by zandarmom nie przyszło do głowy zwolnić go przed końcem książki.

Książka była pierwszym etapem wychowania człowieka rewolucji. Częściej zresztą kolejność jest odwrotna: od praktycznego udziału w walce do samokształcenia świadomego członka partii. Odezwa, wywołująca w r. 1897 do pierwszego strajku piekarskiego, była prawdziwym wstrząsem dla najbardziej niegłupych wyzyskiwanych, na pół zhydełconych paraliżów robotniczego społeczeństwa: „Widziałem starych piekarzy — pisał Olbrzymek we wspomnieniach o tym strajku — którym przy czytaniu odezw wazy ciekły po zaplaczonych twarzach. Węz nie było robocze, nie zwierzęta dwunożne, a „Towarzysze!” — my — towarzysze...” Wielka idea walki i świadomość solidarności klasowej wracają poczucie godności ludzkiej. Warszawski strajk plekarski z r. 1897 ilustruje słowa Lenina: „Dopiero walka wychowuje klasę wyzyskiwaną, dopiero walka daje jej poczucie siły, rozszerza jej widnokrąg, rozwija zdolności, rozjaśnia umysł, wykuwa wolę”.

Sytuacja klasy, pozbawionej wszelkich narzędzi legalnej organizacji walki politycznej i działalności kulturalnej, stwarzała specyficzną, konspiracyjną sieć instytucji życia proletariatu, istniejącą na marginesie społeczeństwa burżuazyjnego i uparcie podkopującego podstawy jego panowania. Tradycyjne formy życia towarzyskiego nasycały się polityczną, nielegalną treścią. Majówki robotnicze przeistaczały się w sesje między-partyjne, wieczorki młodzieżowe przybierały charakter zebrań świetlicowych. Co więcej, instytucje, strzegące panowania klasowego burżuazji, służące zgnieceniu ruchu robotniczego, zostały przez proletariat wyciekane w sposób służący sprawie rewolucji. Pojedyncze cele więzienne stały się „uniwersytetami”, w których aktywni robotnicy czytali i uczyli się na umór, cele zbiorowe były instytucjami pośrednim między akademią sztuki konspiracyjnej a parlamentem podziemnej Polski. Ścierają się w nich poglądy wszelkich partii nielegalnych; niedoświadczeni działacze przechodzą świetną szkołę praktyki politycznej. Moskiewskie więzienie na Butyrkach, w którym więźniowie polityczni oczekiwali na podróż „etapem z kaczki” do miejscesa zesłania, było, jak żartuje Rudnicki, miejscem urządzanych przez rząd regularnych zjazdów rewolucjonistów z naj-

dalszych krańców Rosji carskiej. Omawiano tam sprawy i potrzeby ruchu, dyskutowano taktykę walki.

Warunki walki klasowej proletariatu, odsunętego przez klasę panującą od wszelkich zdobyczy cywilizacji ludzkiej, sprawiły także, że do podstawowych form literackiej manifestacji ideologii klasowej należały odezwa czy ulotka polityczna oraz pieśń rewolucyjna.

Odezwa, anonimowe wezwanie do solidarności w walce, pisemny rozkaz konspiracyjnej armii, to nie tylko podstawowe narzędzie techniki organizacyjnej. Nieudolna ulotka jest niejednokrotnie pierwszym występem literackim późniejszych ideologów i pisarzy partii. Lucjan Rudnicki wspomina, że, gdy napisał swą pierwszą odezwę, władze partyjne przerażone jej stroną formalną zabroniły mu ponownego wystąpienia w tej roli. Odezwa jednak budziła entuzjazm wśród towarzyszy, była własnie literaturą, jakiej potrzebowało, zapisem dążeń i warunków życia klasy. Droga do nieopóźnione napisanej ulotki do książki, odznaczonej Państwową Nagrodą Literacką, jest symbolem dziejów kultury proletariackiej.

Osobny rozdział w historii ruchu należy do pieśni rewolucyjnej. Debütuje ona „Mazurem kajdaniarskim” Waryńskiego, gdzie nowa treść rewolucjonizowała silną jeszcze konwencję szlacheckiej piosenki powstańczej. Społeczne funkcje różnicowały ją na pieśń bojową i andrusowska, kpiarska śpiewkę uliczną, w której optymizm walczącej klasy rozprawił się z przyszłymi „jeńcami”: carem, pol'emajstrem, szpiclem-fiotem” i kapitalistą.

Drogi do masy bezsilnych, wyzyskiwanych nędzarzy do awangardowej siły, budującej nowy świat, przeszła klasa robotnicza pod przewodnictwem partii, „przodującym oddziałem, najwyższej formy klasowej organizacji proletariatu” (Stalin). Od bujnego, lecz wciąż tłumionego życia buntowników, od ukradkowego obojowania z dorobkiem kulturalnym ludzkości na marginesie pracy i walki — do pełnego budownictwa kultury w skali państwa proletariackiego prowadzi długa droga, zwana historią polskiego ruchu robotniczego.

W toczącej się dziś bitwie o przebudowę kultury polskiej, o ideologiczną jedność narodu, prowadzonego przez klasę robotniczą, zanikły dawne i ulamkowe formy życia ideologicznego proletariatu, przekształciły się w pełne uczestnictwo w kulturze Polski Ludowej. Okres 1948-49 jest etapem przygotowawczym dla wielkiej kampanii, jaką stanowi plan sześciolletni.

„To godzina bolesnych i radosnych porównań, towarzyszu Eluard, towarzyszu marzenia, w moich słowach jest węgiel i metale Śląska, górnicy przekraczają plan, hutnicy i włókniarze przekraczają plan, moja partia układa wielki plan na jutro”.

(Adam Ważyk)

Ludwik Łakomy

IMIONA WOŁAJĄCE O POKÓJ

Z inicjatywy Departamentu Zatrudnienia Ministerstwa Pracy powstaje trasa od najulubieńszej wsi Staszica — Suchedniowa, poprzez Michniów, Bodzentyn aż do Słupi Nowej.

Puszcza Jodłowa, tylekroć opiewana, a tak mało jeszcze znana, była zawsze wolna. Dawała schronienie, kryła tajemnice, stawała się podstawą działań zbrojnych. Toteż nic dziwnego, że w 1943 roku wydały na nią wyrok zagłady siekiery hitlerowskie. Padł starodrzew bukowy „na Słowiku”. Zdziwionym oczom, patrzącym z podnóża gór, odsłaniają się gołoborza szczytów, które okradziono z płaszcza odwiecznych lasów. W pasmach ocieśeckim i cisowskim szerzą się liszaje zrębów przestrzennych, padają jodły i buki. W 1944 r. widoczną staje się zagłada rezerwatu cisowego w Dyminach. Padł stary drzewostan osłaniający macierzyńsko cisy, z których pozostało nie więcej nad 300 okazów.

Tu, w tej wolnej puszczy, ciągną się kilometrami okopy, urwiste zapadliny rowów przeciwzołgowych, martwe lasy zasieków, płatawiska kolczastych drutów oraz zwalone obrzynie odziomki drzew ze zsiekanymi kikutami pni i wypaloną, jedną z najbardziej charakterystycznych w Europie, roślinnością. Nie rozporządzamy jeszcze dokładnym obrazem spustoszeń w chronionych obszarach natury pierwotnej Łysogór. Co prawda zręcznie prowadzona cicha walka polskich leśników z zamysłami okupanta uratowała, ile mogła, szaty roślinnej, a gdzie mogła, zioła naprawiała. Ale to była walka niemal beznadziejna, gdy każdy krok okupacji znaczył się milowymi krokami ku „Totalvernichtung”, czemu sprzyjały, celowość zamierzonego niszczenia, interes łatwego zysku oraz logika wojny sprzymierzone tu najściślej. Straty te niezwykle trudno wyrównać zważywszy, iż dzieło uprawy ludzkiej nie zastąpi pierwotnego samorodnego wysiewu, a wprowadzenie powtórne jodły i buka w Łysogórach, nie mówiąc już o beznadziejności uprawy cisów, przy zmienionych warunkach wegetacji o gromnie jest utrudnione.

Opodal trasy budowanej obecnie drogi Suchedniów — Bodzentyn leży Góra Bukowa, której malownicze skały i szczątki skalne, z uwagi na życie roślinne, tworzą jeden z najbardziej interesujących zakątków florystycznych nie tylko Łysogór, ale w ogóle Europy. Jej zachodnia część jest pokryta piękną, czystą, jodłową puszcza, środkowy taras przedstawia starą, jodłowo-bukową puszcza z przewagą buka będąc prawdziwym skarbcem życia roślinnego, a wschodnia jest pokryta prawie wyłącznie li tylko bukami.

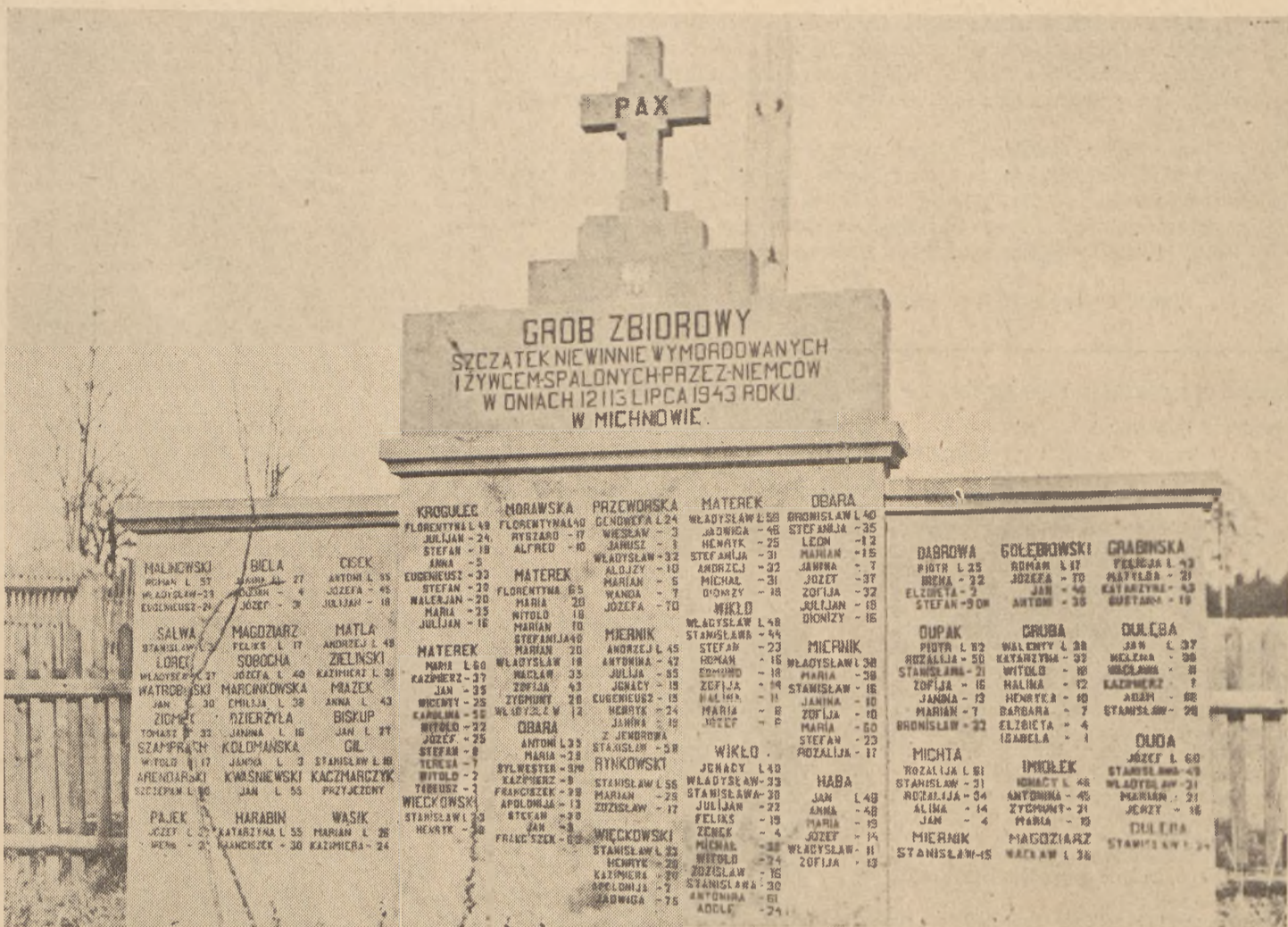
Góra Bukowa była pierwszym ośrodkiem walki z okupantem. Na niej mianowicie, jeszcze na przełomie lat 1939-40, obozował dłuższy czas oddział majora Hubala, przybyły tu po klęsce grupy gen. Kleberga w lasach kockich nad Wieprzem. Opodal jej zboczy Niemcy przeprowadzili jedną z pierwszych „pacyfikacji” na rodzinie Boczarzskich. W pobliżu niej wreszcie leży męczeński Michniów. Kiedy mam pisać o Michniowie, wsi, dla której obecnie budowana droga jest prawdziwym błogosławieństwem, oddaję głos nagrobkowi zaopatrzonemu w napis łaciński „POKÓJ” a poniżej w mroźce krew w żyłach głoski:

„Grób zbiorowy szczątek niewinnie wymordowanych i żywcem spalonych przez Niemców w dniach 12 i 13 lipca 1943 roku”.

Dalej następuje straszliwa lista 203 nazwisk. Wymowa tych nazwisk jest szczególnie jaskrawa w dobie walki o pokój, w dobie, kiedy sprawę walki o pokój stawia się jako „kamień probierczy” — że użyję tu porównania Osmańczyka — każdego człowieka, każdej społeczności, każdego narodu, każdego kontynentu, całej ludzkości.

A przecież tą samą drogą Suchedniów — Słupia Nowa możemy dojść do Łysej Góry, gdzie w klasztorze świętokrzyskim znajdują się po dzień dzisiejszy cele, w których wymordowano dziesięć tysięcy jeńców radzieckich w latach 1941—43! Jak na urągawisko widnieją na ścianach klasztoru malowane przez szablon napisy: „KANNIBALISMUS WIRD MIT DEM TODE BESTRAFT”, będące świadectwem kultury faszyzmu, której owocem jest trzydzieści pięć milionów zgładzonych istnień ludzkich, w czym część milionów ludności polskiej.

Ow gmach przeznaczono teraz na muzeum, które, łącznie z pobliskim Michniowem, winno być zwiedzane nie mniej licznie niż każ-



Grób zbiorowy ofiar hitlerowskich w Michniowie

nie Oświęcimia, Majdanka czy Pawiaka. Napisy o ludobójstwie jako świadectwo „kultury” „Mijmców” powinny stanowczo zostać za grubymi szymbami.

Tu żyli oraz działali „Bracia Polscy”, apostołowie pokoju, dziwne stowarzyszenie, szerzące wiarę o niesprzeciwianiu się znu, o nieprzysięganiu, o miłości ku nieprzyjaciółom i prześladowcom.

Tu przecież, w dostrzegalnych z Łysej Góry: Jeleniowie pod Nową Słupią, lub w piaskami odgródzonej od świata miejscinie, Rakowie — pracowały ogniś liczne ariańskie drukarnie, wyrzucające w świat w polskiej mowie twierdzenia, że: nie godzi się nosić i nie wolno używać oręża, nie wolno walczyć i sądzić, nie wolno nie tylko przysięgać, sprawować urzędów połączonych z władzą nad życiem i śmiercią, ale nawet udawać się do nich we własnej sprawie, jeśli tylko z karą bliźniego połączone być mogły.

Wracając do Suchedniowa widzimy morze równin ścielących się u stóp Łysej Góry, która nabiera jakichś czerwonych krwawych odcieni. Spokój ostatnich chwil odchodzącego słońca płoszą dochodzące z północy odgłosy nieustającej pracy w hutach i wytwórniach Ostrowca świętokrzyskiego, Starachowic i Skarżyska. Zarosłe mchem i tarniną przepastne otwory porzuconych kopalń różnorodnej rudy stopniowo się ożywiają, tak jak spod ozdoby głogów zda się rozsypać w gruzy, a dawno poniechane zakłady przemysłowe wyrastają na nowo świecąc czerwienią hal i kominów.

Dzięki wszczęciu budowy bitej drogi z Suchedniowa do Słupi Nowej ożywi się dziś zapomniana, pełna biota, nędzna miejscina Bodzentyn, która ogniś posiadała wytwórnie zwierciadeł, blachy i narzędzi rolniczych a obok wyłożonych kostkami szerokich ulic pyszniła się wspaniałym gmachem zarządu miejskiego i potężną, pełną dzieł sztuki piękną kolegiatą. Dzięki nowej drodze już obecnie powstaje ze zgłiszcz Michniów, oczekuje na rozwój starożytny Tarczek, wspomniany jako targowisko łysogórskie już w XI wieku,

a ponieważ „jednym z czołowych zadań 6-letniego planu budowy podstaw socjalizmu w Polsce ma być ożywienie jej zacofanych i zaniedbanych obszarów”, przeto wierzymy, że ta najbiedniejsza z biednych, chociaż je-

dna z najbardziej uroczych okolic Polski centralnej, potęgą entuzjazmu i pracy wnie- sie sobie pomniki wskrzeszonymi fabrykami, odbudowanymi ze zgłiszcz wsiami samopomocowymi, budowlami domów kultury



Mieszkańcy Michniowa przed ich przytuliskiem w rok po wojnie



Lysica



Na gruzach męczeńskiej wsi zakwitła nowe życie

1 MAJ (1892 — 1905)

„Będzie urządzona wielka międzynarodowa manifestacja w dniu oznaczonym, w tym celu, aby we wszystkich krajach i miastach jednocześnie robotnicy wezwali władze publiczne do wprowadzenia prawa, ograniczającego liczbę godzin pracy i do wykonania innych postanowień kongresu paryskiego.

Zważywszy, że podobna manifestacja jest wyznaczona na 1 maja 1890 roku przez amerykański Związek Pracy na jego kongresie, odbytym we wrześniu roku 1888 w St. Louis, termin ten przyjmuje się również dla manifestacji międzynarodowej. Robotnicy wszystkich krajów wykonają tę manifestację w warunkach, jakie im narzuca położenie ich krajów.

(Uchwała Kongresu Paryskiego Międzynarod. Socj. 1890).

„ODEZWA NA ŚWIĘTO 1 MAJA 1892 R.”

Towarzysze Robotnicy!

Już po raz trzeci cały świat robotniczy obchodzi swoje

wielkie, uroczyste święto 1 Maja.

Dwa razy już dzień ten był dniem zwycięstwa ludu pracującego, dwa razy już miliony dowiodły, że wszyscy robotnicy — to jedna, wielka, miłująca się wzajemnie, rodzina, że nie chcą już oni dłużej znosić biedy, nędzy i upokorzenia! I w tym roku uroczysty obchód święta robotniczego na Zachodzie przetrwał o tym świat cały! My polscy robotnicy, czyż pozostaniemy w tyle poza innymi?! Niel! I w tym roku, zarówno, jak lat poprzednich, będziemy się domagać praw słusznie nam przynależnych! Chcemy ludźmi być i po ludzku żyć!

Uroczystym, świątecznym, a spokojnym obchodem 1 Maja przekonamy wyzyskiwaczy i ciemięzców naszych: panów, fabrykantów i rząd moskiewski, że wszyscy razem, śmiało i odważnie wypowiadamy nasze żądania:

Chcemy pracować tylko osiem godzin na dzień, byśmy nie marnieli od nadmiernej pracy, byśmy mieli czas na kształcenie się, rozrywkę i odpoczynek i by więcej ludzi mogło mieć zajęcie.

Żądamy też, by zarobki nasze były większe, byśmy posiadali dostateczne dla nas i rodzin naszych utrzymanie, któreby zabezpieczyło nas od nędzy, dzieci nasze od wycieńczenia swych sił młodocianych dla zysków fabrykantów, córki nasze od strasznej konieczności sprzedawania ciała swego, by uratować się od śmierci głodowej.

Domagamy się swobody politycznej! Precz z okrutnym, samowładnym carem, zabijającym najlepszych i najszlachetniejszych naszych obrońców. Chcemy sami sobą rządzić! Chcemy swobody zebrań, na których byśmy mogli radzić nad polepszeniem doli naszej; wolności słowa i druku, by nikt za swe szlachetne dążenia nie był wtrąconym przez carskich żandarmów do więzień i wysyłanym na Sybir na długie i ciężkie męczarnie.

Żądamy, by nas nie zmuszano mówić i myśleć w obcym języku! Żądamy polskich szkół i polskich sądów!

(Odezwa wydana przez Związek Robotników na dzień 1 maja 1892 r.)

SWOBODA POLITYCZNA I 1 MAJ

Już zaraz od początku polscy robotnicy postawili 1 Maja oprócz 8 godzin pracy, drugie, swoje własne żądanie: swobody politycznej! Bez swobody politycznej, bez prawa strajkowania, prawa związków i zebrań, bez wpływu na rząd — najgłówniejsza korzyść 8-godzinnego dnia pracy dla nas przepadnie. Hasło 8 godzin pracy oznacza ograniczenie wyzysku. My do niego dodać musimy drugie hasło „Swoboda walki z wyzyskiem!”

Gdy lud roboczy postanowił wybawić się z niewoli rządu carskiego — wyrok śmierci na niewolę zapadł — dni jej są policzone. Lud się nie zatrzyma przed żadnym środkiem; krwi swej nie pożałuje dla uzyskania swobody. Tak walczyli kiedyś zagraniczni robotnicy — tak i my walczyć będziemy.

Ale godzina ostatnia jeszcze nie wybiła. Dziś nie pora na bitwy z wojskiem i policją. Dziś naszą walką z rządem jest — Święto Majowe.

Czyż możemy zmierzyć się z wrogiem, nie znając naszej siły? Musimy pierw policzyć nasze szeregi, zapytać: ilu już jest robotników pragnących swobody? Pokaże to Święto Majowe! Wtedy zobaczymy, kto stanął na apel 8 godzin pracy i swobody politycznej. Gdy nadejdzie dzień, że usłyszymy: w Warszawie — wszyscy, w Łodzi — wszyscy, w Dąbrowie, w Żyrardowie — wszyscy świętują! Gdy nadejdzie taki 1 Maj — on będzie ostatnim dniem naszej niewoli! Dziś świętujemy i liczymy nasze szeregi.

Każdy 1 Maj zbliża nas do tej chwili, z każdym rokiem zwiększać się musi liczba świętujących i pragnących swobody.

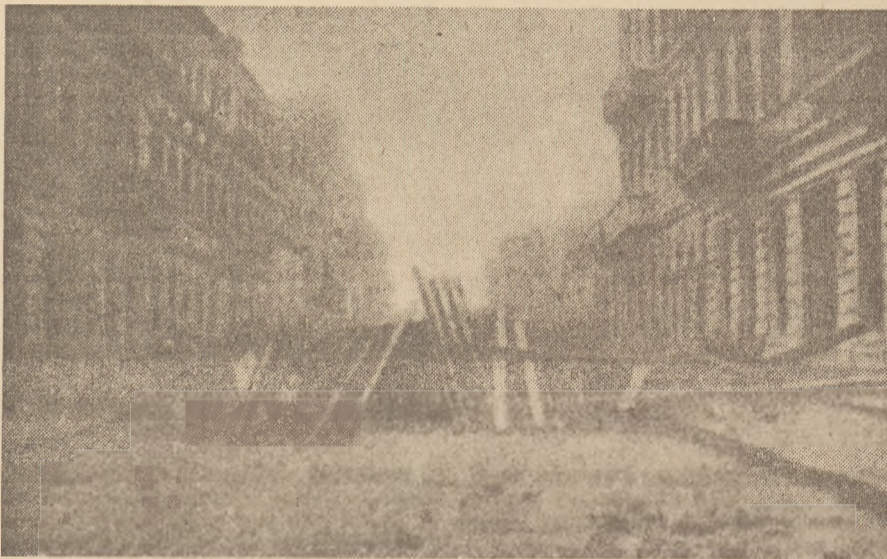
(Z odezwy wydanej przez Różę Luksemburg na 1 maja 1894 r.)

DO WALKI

Nigdy jeszcze proletariatu polski nie szykował się do swego święta majowego w chwili tak ciężkiej i tak brzemiennej w ważne wypadki polityczne, jak w tym roku. Wchodzi my na pole demonstracji majowej w czasie, gdy kryzys i stagnacja handlowa pozbawiły dziesiątki tysięcy robotników pracy i chleba.

Podnosimy hasła 1 Maja w samym rozgardiaszu walki, jaką proletariatu rosyjski wypowiadał absolutyzmowi carskiemu. W chwili bezrobocia i głodu — do walki!

Szybko minęło kilka lat ożywienia handlowego i przemysłowego, kiedy roboty w kopalniach, fabrykach, warsztatach i handlu było stosunkowo dużo, często aż nazbyt dużo. Fabrykanci rozszerzali swe fabryki i zwiększali liczbę swych maszyn; giełda i



Barykada w Łodzi w 1905 r.

bankierzy rozszerzali swe operacje, zwiększali pole spekulacji i oszustw. Kupcy i komisjonerzy odkryli nowe pola handlu, nowe pola zbytu, nowe gałęzie pośrednictwa... A co skorzystał robotnik w tych tłustych latach kapitalistycznych, które tak prędko przeleciały?

Niel! Jak przed kilku laty nie miał nic, prócz rąk do pracy, tak teraz, po świetnych chwilach rozwoju kapitalistycznego, stoi wobec stagnacji z pustymi rękami. Albo jest zupełnie pozbawiony pracy, albo pracuje mniej i zarabia jeszcze mniej. Gdy interesy kapitalistyczne kwitły, gdy fabrykanci nie mogli nadążyć obstalunkom, przedłużano pracę robotnika, ile się dało. Wciągano do pracy więcej kobiet i dzieci. I kiedy kapitaliści zgarniali z pracy robotników miliony do swych kieszeni, kiedy praca robotników budowała nowe fabryki, stawiała nowe maszyny, ryła nowe kopalnie i szachty, budowała nowe koleje, wznosiła nowe kamienice i pałace, zwiększała własność kapitalistyczną — nie polepszyło się ani o włos położenie klasy robotniczej. Z tych świetnych tryumfów kapitalistycznych robotnik nie miał nic, prócz przedłużonych dni roboczych. Musiał pracować dłużej, bo roboty było huk. A co zarobił więcej na dodatkowych godzinach pracy, to mu zabrał kamienicznik, podnosząc komorne, to mu zabrał rząd w podwyższonej cenie wódki monopolowej i nowych podatkach, to mu zabrała coraz większa drożyzna mięsa, chleba, jarzyn, opału, światła. A od przydługiej pracy ilu poniosło kalectwa na całe życie — ilu padło trupem na polu pracy!

A teraz stagnacja. Przedtem było za dużo pracy, teraz jest za mało pracy. Przedtem było źle, teraz jest jeszcze gorzej.

W takich warunkach manifestacja majowa zwraca się ze szczególną siłą przeciw kapitalizmowi, który w tłustych latach tuczy się pracą robotników, aby im w chwili stagnacji odebrać pracę, zmniejszyć zarobki, skazać na jeszcze większą nędzę lub zupełnie wyrzucić na bruk uliczny.

(Z odezwy wydanej przez S. D. K. P. i L. na 1 maja 1902 r.)

DEMONSTRACJA MAJOWA W WARSZAWIE

Na mieście ruch niebywały: ruch ten ma dzisiaj zupełnie innych charakter, aniżeli zwykle. Na Marszałkowskiej, Świętokrzyskiej, Placu Zielonym, Próżnej i w okolicach

widać prawie samych robotników. Twarze rozgorączkowane, oczy płoną, ruchy szybkie. Idą po większej części po kilku, żywo rozmawiając. Dzień to święta, dzień proletariatu, dzień nasz — a dla burżuazji i rządów dzień strachu. Słyszeć można robotników mówiących: „Jak przyjemnie pomyśleć, że dziś na całym świecie robotnicy świętują; tylko dla nich to naprawdę dzień święta, a dla nas dzień walki. Ale i u nas już niedługo będzie lepiej, musi być lepiej. Ruch kobowy ogromny: dorożki pędzą jedna za drugą całymi szeregami, tramwaje przepełnione. Burżuazja chce widzieć, co będzie, a boi się iść pieszo. Policji masa. Nadchodzi godzina 5. Ruch się wzmacnia. Robotnicy, zbierający się na ulicach bocznych, zaczynają skupiać się w jednym punkcie ul. Marszałkowskiej, pomiędzy Świętokrzyską i Próżną. Po wópie do szóstej na ulicy tłum kilkutyśięcny, już zaczyna się tworzyć centrum, jeszcze parę sekund, a ponad głowami powieją czerwone sztandary — gdy naraz otwiera się z trzaskiem brama domu na rogu Marszałkowskiej i Próżnej i zaczynają się sypać konni żandarmi i kozacy.

Wyjechało ich z 200 i puścili konie. Wjeżdżają na trotuary, pędzą środkiem ulicy. Gąple rzucają się w popłochu do ucieczki, wpadają na skupiających się robotników, za ni-

placu Bankowego, stamtąd zawrócił i doszedł do Białej. Na ulicy Białej napadli kozacy w liczbie 50 i tutaj wywiązała się walka. Jednakże kozakom się i tu nie udało. Chodziło im głównie o pochwylenie sztandarów i tych, co je nieśli, ale ich zresztą zasłonięto. Sztandary ocalały, aresztów też prawie nie było. Pochód trwał pół godziny, od 6 do 6.30. Demonstracja miała charakter bardzo uroczysty. Pochód, wznoszący ustawiczne rewolucyjne okrzyki i pieśni, robił wrażenie. Stróżę i dorożkarze zdejmowali czapki. Po zwinięciu sztandarów demonstranci się rozproszyli. Na Marszałkowskiej wzięto 2 osoby. W ten sposób nasza demonstracja majowa udała się nadszpiezwanie.

(„Czerwony Sztandar” Nr 17, maj 1904)

Zeromski z rodziną mieszkał w Nałęczowie w tym samym domu, co i Gustaw Daniłowicki...

Zeromski założył tajną szkołę, był twórcą wszystkich poczyną społecznych, był przede wszystkim czowiekiem czynu.

Był koniec października. Koleje stanęły. Ale nagle gruchnęła wieść o manifestacji październikowej — o upadku absolutyzmu. Zeromski promieniał cały. Dzielił się z przyjaciółmi marzeniami o tym, co najbliższa przyszłość Polsce przyniesie. Przyjaciele nie chcieli sączyć zwątpienia do jego duszy.

1 listopada 1905 roku zaimprovizowano zebranie na wzgórze...

...Przemawiał Zeromski.

Jak dziś pamiętam jego postać na wzgórze, z rozwianym włosiem. Oczy jego rzucały błyskawice, a słowa padały mocne, ważne i ciężkie. Gromił ugody i słabość, nawoływał do ofiarnego czynu. Przypominał, że masy pracujące — robotnicze i chłopskie — są narodem, a poza tym narodem pozostanie tylko garstka zdrajców i zaprzańców. „Kto chce walki o niepodległość i lepszą przyszłość narodu, ten pójdzie z nami — za czerwonym sztandarem!”

I tłum za przewodem Zeromskiego opuścił wzgórze śpiewając.

Do Zeromskiego ludność odnosiła się z pietyzmem, a endecy psy na nim wiesiali.

29 listopada w domu Zeromskich obchodzono rocznicę listopadową... Zeromski wygłosił najpierw krótkie przemówienie, następnie odczytał z namaszczeniem manifest Towarzystwa Demokratycznego...

Na sali zapanował nastrój rewolucyjny. Wreszcie znany działacz ludowy Kazimierz Duleba (brat proletariatyka Henryka), który z żoną i jej siostrą, Faustyną Morzycką, znaną działaczką, mieszkał w Nałęczowie, zaintonował pieśń:

„Armata pod Stoczkiem”, zmieniając ją trochę. Tak np. śpiewał:

„My chłopie, nie znamy wiedeńskich traktatów...”

Tłum włościański złożony z paruset PPS-owców i ludowców z okolicy, podchwycił tę pieśń przy pierwszej strofie. Później odśpiewano „Czerwony Sztandar”.

(Kronika ruchu rewolucyjnego w Polsce, nr 119).

Jednodniowy strajk polityczny, proklamowany na 15 maja przez Komitet Łódzki S.D.K.P. i L., aczkolwiek nie był powszechnym, dał podnieść do nowej fali strajków ekonomicznych. „Sza!” strajkowy — pisze

SOCJALDEMOKRACJA KRÓLESTWA POLSKIEGO I LITWY

NA DZIEŃ 1-GO MAJA.

Do wszystkich Robotników w mieście i na roli.

Obrzydliwy lud roboczy polski i rosyjski powstał, jak jeden mąż, do walki na śmierć i życie z carskim samowładztwem. Na spokojnie wygłoszone żądanie wolności politycznej przez tłumy robotników w Petersburgu, car odpowiedział rozkazem wymordowania tysięcy bezbronnych kobiet, dzieci i starców. Odjął mordercy i zrabieżcy, dokonywane przez parobków carskich, przetrącający krwawym szlakiem przez wszystkie miasta caratu. Gły i my, robotnicy polscy, strajkujemy powszechnym wyrażeniem swą solidarności z bracią rosyjską, tracąc caratu i jego swego kłamstwa i na nas.

BRACIA! Po tych straszkach, które padły w Petersburgu, Warszawie, Łodzi, Dąbrowie, niemasz już dla nas innej drogi, jak konsekwentna rozpowszechnienie Rewolucji. Nie masz dla nas żadnej nadziei polepszenia naszej opłakanej doli, zdobycia 8-godzinnego dnia roboczego, póki nie zwalimy w grunty krwawego samowładztwa.

Dopiero wtedy, gdy Zgromadzenie Konstytucyjne, przez całą ludność dorozłą, bez różnic stanu, narodowości i pici, w powszechnym, równym, tajnym, bezpośrednim głosowaniu obroni ogłosi Republikę w państwie Rosyjskiem, kiedy będąc nami rządzić nie dżika, sz-

Odezwa SDKP i L na dzień 1 maja 1905 r.

mi z niemilkającymi okrzykami: „Precz z caratem”, „Niech żyje 1 Maj!”, „Niech żyje 8-godzinny dzień roboczy”, „Niech żyje socjaldemokracja”, „Niech żyje socjalizm” itd. i ze śpiewem „Czerwony Sztandar” przeszedł wzdłuż Elektoralnej ulicy, doszedł d

korespondent z Łodzi w Nr 10 „Z pola walki” z dnia 30 czerwca 1905 r. — na nowo ogarnął Łódź robotniczą... „Sza!” wywalczenia sobie lepszej doli. Rozpoczynają się strajki od fabryk drobnych, 30 maja staje szereg fabryk wielkich. 1 czerwca strajkuje około 33 tys. robotników. Zaciętość strajkujących jest niezwykła. „Robotnicy” — pisze tenże korespondent — „by przeszkodzić używaniu łamistrajków do pracy utrzymując solidarność we własnych szeregach, z fabryk nie wychodzą wcale, tam jedzą, tam śpią, tam urządzają wiece, na których przemawiają mówcy socjaldemokracy, niczym, gdybyśmy posiadali już w Łodzi wolność polityczną”.

„Z pola walki”

„Robotnicy, nawet nie przygotowani do walki, nawet ograniczający się z początku tylko do obrony, pokazują nam na przykładzie proletariatu Łodzi nie tylko nowy wzór rewolucyjnego zapału i bohaterstwa, ale i wyższe formy walki.”

Lenin, czerwiec 1905

Paweł Korzec

ŁÓDŹ PRZED 1905 ROKIEM

Łódź „Manchester” polski, zawiera w dziejach swego powstania i rozwoju wiele pierwiastków amerykańizmu, ale jeszcze więcej elementów miast instytucji kolonialnych. Ośrodek polskiego przemysłu i kapitalizmu powstaje i rozwija się w warunkach specyficznych i odmiennych od podobnych mu zjawisk w Europie czy Ameryce.

Łódź powstaje jako kolosalny ośrodek przemysłu kraju politycznie zależnego. Powstaje i rozwija się zasadniczo bezplanowo, żywiołowo, bez szczególnej myśli politycznej czy ekonomicznej. Rozwój jej czy upadek są ściśle uzależnione od koniunktury politycznej. Łódź jest ośrodkiem przemysłowym, o tyle tylko polskim, że położona jest na ziemiach polskich. Kapitał, który ją tworzył był zagraniczny; fachowa siła robocza zagraniczna; produkcja obliczona była na zbyt za granicą. Ten nienarodowy charakter rozwoju przemysłu łódzkiego wywierał specyficzne piętno na stosunki ekonomiczne, demograficzne, urbanistyczne i społeczne miasta

Łódź powstała jako żywiołowy i bezplanowy wytwór kapitalizmu kolonialnego i stąd wynika fakt, że jeszcze po kilku dziesiątkach lat dwudziestego stulecia Łódź, aczkolwiek przekracza liczbę 600 tysięcy mieszkańców, nie była miastem w pełnym tego słowa znaczeniu. W pierwszych latach zaś dwudziestego wieku Łódź stanowiła kompleks osad fabrycznych, w których ośrodkami były ogromne fabryki, domy zaś mieszkalne były koniecznym do tych fabryk dodatkiem. Łódź pozbawiona była w tym okresie elementarnych instytucji kulturalnych, czy użyteczności publicznej. Brak kanalizacji i dostatecznej ilości studzien, dawał w wyniku anty-sanitarny stan miasta. Domy mieszkalne były to, albo nędzne, parterowe, drewniane lepianki, budowane przeważnie na przedmieściach, jak Widzew, Chojny, Bałuty, albo też ogromne, koszarowe, ponure domy rodzinne — fabryczne lub czynszowe w śródmieściu, gdzie słońce było niespotykanym gościem. Obok lepianek robotniczych mieszczyli się bogate pałace fabrykanckie. To pomieszczenie nędzy i przepychu jest jeszcze jednym dowodem, że Łódź nie rozwija się zgodnie z warunkami ekonomicznymi innych miast kapitalistycznych, gdzie powstawały wyodrębnione dzielnice handlowe, przemysłowe, zamieszkałe przez bogaczy i inne zamieszkałe przez proletariát. Stąd brak w



Magistrat i kościół ewang. na Nowym Rynku (dziś Plac Wolności) w r. 1827. W głębi ul. Piotrkowska

w Cesarstwie (bez Królestwa i Finlandii) 96 kopiejek.

Różnice te stają się jeszcze jaskrawsze przy porównywaniu z poszczególnymi miastami. Omawiane powyżej wydatki wynoszą:

| | |
|----------------------|---------------------|
| Moskwa | 2 ruble 70 kopiejek |
| Petersburg | 2 " 68 " |
| Warszawa | 0 " 48 " |
| Łódź | 0 " 8 " |
| Zgierz | 0 " 2 " |

Skutek tego stanu rzeczy był taki, że 50% mieszkańców Królestwa to analfabeci. Gubernie polskie dawały najwyższy procent rekrutów — analfabetów ze wszystkich guberni europejskiej Rosji, około 80%. Na stan ten złożyła się jednak nie tylko wybitnie antypolska polityka oświatowa rządu carskiego, lecz również postawa polskich klas posiadających. W żadnym okręgu imperium

przypada 300 robotników. Przemysł wełniany wykazuje znacznie większe rozproszenie kapitałowe. Przeciętna ilość robotników w fabryce wełnianej wynosi 128 robotników. Za to wartość produkcji przypadającej na jednego robotnika jest tu znacznie wyższa, wynosi mianowicie 2.400 rb. rocznie, gdy w przemyśle bawełnianym zaledwie 1.960 rb. Jest to zresztą zrozumiałe, gdyż przemysł wełniany produkował na ogół z szlachetniejszego i o wiele droższego surowca. Brak większej dysproporcji można wytłumaczyć o wiele nowocześniejszym uzbrojeniem technicznym przemysłu bawełnianego. Łódzki przemysł włókienniczy, a w szczególności bawełniany, wykazują rzadko spotykaną tendencję do zupełnej zamkniętej i samowystarczальной produkcji.

W tym czasie wiekiele firmy, jak I. K. Poznański lub Karol Scheibler, posiadają w Brazylii i Afryce ogromne plantacje bawełny, dostarczające surowca na produkcję ich fabryk. Posiadają również własne kopalnie węgla. W ten sposób zakłady te produkują od własnego surowca do zupełnie wykończonego towaru, sprzedając go nawet przez własne przedstawicielstwa zagraniczne. Uwielokrotnia to oczywiście otrzymywany zysk, uniezależniając jednocześnie te fabryki od koniunkturalnych wahań podaży surowców. Ten stan rzeczy pozwala też wielkim przedsiębiorstwom na stosunkowo łatwe likwidowanie małych konkurencyjnych fabryk. Nie dziw też, że właśnie w przemyśle bawełnianym spotykamy niebywałą w innych gałęziach przemysłu koncentrację produkcji i kapitału. Koncentracja ta odbywa się w ramach ogromnych towarzystw akcyjnych, wykazujących tendencję wzajemnych fuzji i kartelizacji danej gałęzi przemysłu.

Zakłady wielkich towarzystw akcyjnych odgrywały także bezpośrednią rolę w pozostałych gałęziach przemysłu bawełnianego. Mniejsze fabryki bowiem zazwyczaj jednooddziałowe, przeważnie tkalnie, przerabiały przedzę zakupywaną z produkcji wieloddziałowych zakładów towarzystw akcyjnych. Ten stan rzeczy spowodował, że w okresie słynnego lokautu łódzkiego, prócz siedmiu wielkich zakładów bawełnianych także mniejsze fabryki musiały ograniczyć produkcję z braku przedży.

Koncentracja przemysłu i powstanie fabryk — kolosów w rodzaju Karola Scheiblera (1905, zatrudniającej 6.300 robotników), lub I. K. Poznańskiego zmienia także z gruntu oblicze klasy pracującej w przemyśle łódzkim. Zmienia się zarówno skład narodowo-

dla robotnika polskiego. Okoliczność ta wywołuje, niesłychany w dziejach miast polskich przyrost ludności:

| rok | ilość mieszkańców |
|------|-------------------|
| 1793 | 190 |
| 1820 | 767 |
| 1827 | 2.840 |
| 1833 | 5.700 |
| 1837 | 10.000 |
| 1840 | 18—20.000 |
| 1856 | 21.560 |
| 1860 | 29—32.000 |
| 1872 | 50.000 |
| 1878 | 100.000 |
| 1888 | 150.000 |
| 1897 | 315.209 |
| 1904 | 328.986 |
| 1909 | 393.526 |
| 1914 | ok. 500.000 |
| 1926 | 565.000 |

Z tablicy powyższej widać, że podobnie jak całokształt spraw Łodzi, także wzrost czy spadek ludności miasta są ściśle sprzęgnięte z przemysłem i koniunkturą gospodarczą. Okres rozwoju wielokapitalistycznego przemysłu łódzkiego (1872—1897), obejmujący okres 25 lat wywołuje przyrost ludności z 50 tys. do 315 tys., co stanowi przeszło 500 procent przyrostu. Zato kryzys gospodarczy lub wojenny wywołuje tutaj również nigdzie nie spotykany katastrofalny spadek ludności. Tak np. zaludnienie Łodzi obniża się mocno w latach rewolucji 1905/7 r., w latach zaś 1914/18 spada aż do 250 tys. ludzi. Stan ten jest wynikiem wybitnie jednostronnego rozwoju ekonomiki miasta i słusznie można by postawić tezę, że historia Łodzi to dzieje przemysłu włókienniczego.

Specyficzny rozwój kapitalizmu łódzkiego wywiera wpływ na charakter klasy robotniczej. Składa się ona z różnych elementów. A więc obok najbardziej uświadomionej, radykalnej, zrewolucjonizowanej części klasy robotniczej, niektóre elementy tej klasy podlegały wpływom reakcyjnym, klerykalnym, pseudonarodowym i antysocjalistycznym. Był to również wynik niezwykle intensywnego rozwoju miasta. Przybywające do fabryk masy robotników to przeważnie przybysze z okolicznych miasteczek i wsi, chłopcy, których nędza wygnała ze wsi rodzinnych na poszukiwanie chleba i które powoli dopiero nabierały proletariackiej świadomości klasowej.

Mimo to jednak organizacje robotniczo-socjalistyczne, są liczniejsze i o wiele bardziej dynamiczne od konkurencyjnych związków robotników narodowych, czy kadeckich. Ruch zawodowy obejmuje w tym okresie już znaczne odłamy klasy robotniczej. Najliczniejszy był w Łodzi Zw. Zaw. Bezpartyjny, liczący w końcu 1906 r. ok. 17.000 członków. Zw. Zaw. Przem. Włók. S. D. liczył 12.000 osób. O wiele mniej członków posiadały Zw. Zaw. Bundu oraz tzw. „Związki Polskie”, jak N.Z.R., Jedność i Związek Rob. Chrześcijan. Siła i znaczenie zw. zaw. socjalistycznych uwydatniły się jaskrawo w okresie lokautu, organizując sprawnie pomoc dla bezrobotnych, podczas gdy udział zw. endeckich w akcji pomocy był niezwykle niski.

Organizacjom klasy robotniczej przeciwstawia się, świetnie już w tym okresie zorganizowana i wykształcona klasa burżuazyjno-fabrykancka Łodzi. Jednak również i na tym odcinku nie jest Łódź wolna od swoich specyfików, które składają się na wytworzenie szczególnego typu społecznego (tzw. „Łodzermenscha”. Łodzermenscha cechuje brak jakiegokolwiek idei, lub norm społecznych. Jedyną jego ideą jest robienie pieniędzy za wszelką cenę. Stąd niesłychany wysiłek robotnika, przy zupełnym braku troski o jakiegokolwiek instytucje społeczne. W swojej pogoni za bózkim — pieniądzem łodzermenscha nie waha się nawet przed przestępstwem, stąd rozpowszechniona w Łodzi plaga grynderstwa²⁾. Łodzermenscha



Fabryka Ludwika Gejera

Łodzi tzw. City handlowego. Życie miasta skupia się — jak już mówiliśmy — dośrodkowo, wokół poszczególnych fabryk — osad, jak Widzew, fabryka Poznańskiego, Gejera itd. Nawet nader rzadkie w mieście instytucje kulturalne są prawie wyłącznie instytucjami fabrycznymi. A więc np. przy fabryce Scheiblera mieści się szkoła początkowa i zawodowa, przy fabryce Poznańskiego znajduje się większy szpital, na fabryce Heintzla i Kunitzera na Widzewie powstawał nawet z inicjatywy właścicieli teatr dla robotników, szybko jednak przemieniony na, przydatniejszy — zdaniem Kunitzera — do osłabienia rewolucyjności robotników, kościół.

W ogóle Łódź stanowi w tym okresie miasto kontrastów. W roku 1908 łódzkie szkoły elementarne mogły pomieścić zaledwie 20% dzieci, obok tego istniał nadmiar drogich, prywatnych szkół średnich. Przy ogromnym braku szpitali i instytucji społecznych Łódź słynęła z wielkich hoteli, kabaretów i nocnych lokali. Rozwój oświaty w Polsce w omawianym okresie był bardzo słaby, zaś w zaniebanym Królestwie Łódź z okolicą znajdują się jeszcze na szarym końcu¹⁾.

w Rosji była jedna szkoła na 2.030 mieszkańców.

w Królestwie była jedna szkoła na 3.243 mieszkańców.

Wydatki miast na oświatę powszechną i instytucje dobroczynne w 1897 r. wynosiły średnio na 1 mieszkańca:

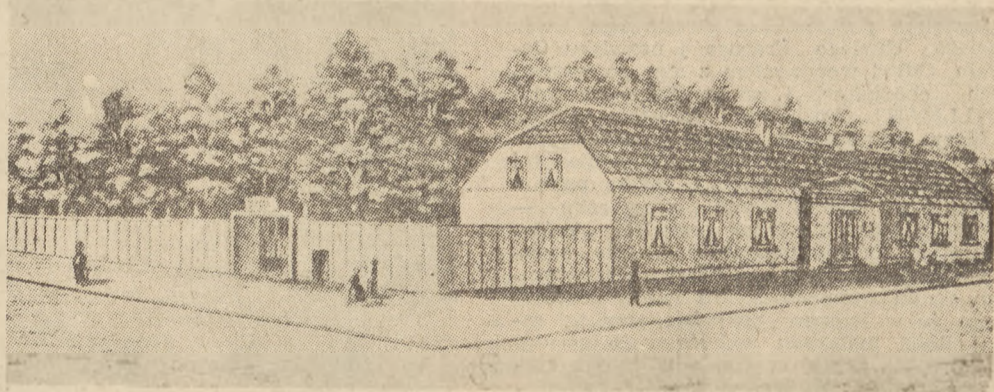
w Królestwie 31 kopiejek.

rosyjskiego ofiarności społeczeństwa nie była tak słaba jak w Królestwie.

W tym samym czasie doskonale pracowały już tramwaje miejskie i dojazdowe, nie służyły one jednak szerokim warstwom robotników. Tramwaje ze swoim podziałem na klasę pierwszą i drugą przeznaczone były w głównej mierze dla sfer zamożnych i średnio zamożnych. Dla robotnika tramwaj był luksusem, na który można sobie tylko pozwolić od święta i stąd zjawisko kolosalnej frekwencji na tramwajach w niedziele i dni świąteczne. Stosunki ówczesne w Łodzi doskonale ilustruje wyciąg budżetu miejskiego za rok 1907. W tym roku preliminarz budżetowy miasta przewiduje 1 milion rubli wydatków, w tym na utrzymanie policji i wojsk posiłkujących policję przewidziane było 215 tys. rubli, czyli 25%. Na szkoły elementarne zaś 36 tys., czyli 3,6%. Subsidia dla szpitali wynosiły około 2.300 rb., czyli 0,2%, tyle samo dawano na zasiłek dla carskiego szmatławca „Łodzinskij listok”.

Przemysł łódzki to głównie przemysł włókienniczy, a przeważnie bawełniany. Wg danych Koszutskiego w r. 1901—3 na ogólną liczbę 425 fabryk łódzkich 327, czyli 77% było włókienniczych. Liczba zatrudnionych robotników wynosiła 66 tys. osób, z czego włókienniczy było 61.840, tj. ok. 94%. Wartość produkcji przemysłowej wynosiła ogółem 136.466 rb., z czego na produkcję włókienniczą przypada 130.057 rb., czyli 96% ogólnej wartości produkcji przemysłowej łódzkiej.

Przemysł bawełniany wykazuje największą koncentrację, i tak podczas gdy średnio na jedną fabrykę, poza przemysłem bawełnianym, w Łodzi przypada 101 robotników, to na jedną fabrykę przemysłu bawełnianego



Ulica Piotrkowska i róg ul. Przejazd w r. 1858

ściowy, jak i charakter społeczny mas pracujących w przemyśle, wytwarzając stopniowo klasę robotniczą we współczesnym tego słowa znaczeniu, świadomą i zorganizowaną. W fabrykach przedwielokapitalistycznych, technicznie nisko wyposażonych, dominującym typem robotnika był Niemiec-imiigrant, o względnie wysokich kwalifikacjach, zawodowych, zaś żywioł robotniczy miejscowy zatrudniony był przeważnie przy pracach pomocniczych. Mechanizacja przemysłu, czyniąc pracę bardziej prostą i wymagającą znacznie mniejszych kwalifikacji zawodowych, otworzyła szeroko wrota fabryk

w tej walce z robotnikami nie waha się uciekać do pomocy skorumpowanej policji rosyjskiej. Chęć zysku za wszelką cenę stawia go nader często na marginesie społeczeństwa, a bardzo często przeciwko niemu, pozwala mu na bezwzględne, antyhumanistyczne i antynarodowe działanie, bez komercyjności liczenia się z opinią publiczną kraju. Stąd zjawisko konfliktów łodzermenschow nawet z burżuazją polską.

²⁾ Podpalanie własnych fabryk i domów w celu uzyskania odszkodowania ubezpieczeniowego.

¹⁾ Szuster — Rewolucja 1905—7 r. w Polsce, str. 265

Czesław Zieliński

MOJA DROGA*)



Czesław Zieliński jako górnik

NAUKA, ALE DLA KOGO?

Mieszkałem wtedy w departamencie Nord, w miejscowości Masny, na kolonii robotniczej, niedaleko kopalni. Pewnego dnia przyszedł do nas prefekt żandarmerii i powiedział do ojca: — Monsieur Zieliński, bardzo mi przykro, ale czas przyszedł, nie ma rady... Zdjął czapkę, usiadł przy stole, a ja schowałem się w kącie.

— Tak, tak — mówił jak gdyby do siebie, a cały czas patrzył na mnie — nie ma rady. Dzisiaj wasz synek, monsieur Zieliński, kończy trzynaście lat, n'est-ce-pas? A więc czas do pracy, do kopalni. Wiedcie, jakie są ustawy. Albo do szkoły, albo do pracy. Więcej waleś się po ulicach nie wolno. Uprowadzam, monsieur Zieliński, od jutra do pracy...

Już wychodząc, ale stojąc jeszcze w drzwiach żandarm obrócił się i powiedział z ironicznym uśmiechem:

— Do szkoły chyba go nie oddacie, bo i za co? Hi, hi, hi, do szkoły...

Jeszcze teraz pamiętam ten śmiech... Dobrze odgadł żandarm: do szkoły nie poszedłem, bo nie było za co. Zresztą, nikt z moich rówieśników nie poszedł do szkoły. Wszyscy moi koledzy, którzy tego dnia ukończyli trzynaście lat, poszli nazajutrz do pracy. Dopiero później zrozumiałem, co oznaczała ta ustawa. Mówiła ona o prawie każdego do wykształcenia, do nauki. Zmuszała nawet, jak widzieliśmy na przykładzie z tym żandarem. Ale tylko mówiła, tylko formalnie zmuszała. Niby to zabezpieczała prawo do nauki, ale w rzeczywistości stanowiła niepokonaną przeszkodę dla klasy robotniczej, dla szerokiego mas pracujących. Zabezpieczała prawo do nauki, ale dla synków i córek mieszczańskich, kupców, urzędników, młynarzy i prywatnych, fabrykantów i przedsiębiorców. Szkoła była droga, dobrze kosztowała i nie mieściła się w budżecie rodziny robotniczej.

Poszedłem więc nazajutrz do pracy, do kopalni „VILLMAN”. Zresztą, nie była to moja pierwsza praca. Nie miał racji prefekt żandarmerii z Masny, mówiąc, że się waleś sam po miasteczku. Już od dwóch bowiem lat pracowałem jako pastuch u bogatego chłopca francuskiego, mieszkającego niedaleko od nas. Chodziłem za krowami, pomagałem w gospodarstwie za kąta do spania i jedzenia. Ale nie była to stała praca, bo tylko latem, i to nie zawsze...

Latem chodziłem w „łapciach” ze szmat, uwiązanych u dołu sznurkiem. Zwano je we Francji „espadrylami”. Zimą w butach, podbitych drzewem zamiast skóry.

DLA KOGO PRACOWAŁEM?

Zostałem pomocnikiem strzałowego, wysokiego, chudego Francuza o nazwisku Caprain. Odtąd wędrowałem z nim po wszystkich chodnikach i zakamarkach kopalni „VILLMAN”. Poznałem wszystkie ściany i filary wszystkie zabierki i przecinki, poznałem dokładnie wszystkie tajemnice tej kopalni. Nosiłem na plecach wielką pakę z materiałami wybuchowymi, a w ręku — paczkę z lontami. I tak poznałem wkrótce wszystkie rodzaje uwarstwień węgla, a pomagając strzałowemu w pracy, obserwowałem skutki wybuchów. Już wtedy uderzyło mnie, że w jednym pokładzie przy tej samej ilości materiału wybuchowego górnicy wyrębiały więcej węgla, a w innym znowu — mniej. Widziałem również, jak niektórzy górnicy mniejszą ilością materiału wybuchowego wyrębiają więcej węgla, niż ci, którzy ładowali zbyt dużo tego materiału. Różnie też wiercili otwory. Ale najczęściej — pracowali według raz ustalonego szablonu, niechętnie z nimi zrywali, wzorując się na swoich ojcach.

Po roku, gdy zorientowałem się dość dobrze we wszystkich sprawach kopalni, wzięto mnie do pchania wózków z węglem. Zostałem wozakiem przy pół- i całotonowych wozach.

*) Fragment z książki: „Jak wykonałem 721% normy”, która ukazała się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka-Wiedza”. Literacko opracował książkę Marian Nie-wiarowski.

Przez pięć lat pchaliśmy te wózki we dwójkę razem z moim kolegą z tego samego osiedla. Pracowaliśmy jak dorośli, a płacili nam według stawek dla młodocianych...

Już wtedy nieraz zastanawiałem się, dla kogo pracuję, dla kogo tracę codziennie siły i zdrowie? Kto korzysta z mojej pracy i z tego węgla, który ja i ten towarzysz obok mnie pchamy do szybu wyciągowego?...

Wiele czasu upłynęło, póki zrozumiałem, kto dorabia się majątków na naszej pracy, póki zrozumiałem cały mechanizm ustroju, w którym żyłem, ustroju, w którym jedni pracują, a drudzy żyją z tej pracy...

Pół dnia pracowałem wtedy na to, aby utrzymać się przy życiu, a drugie pół dnia, aby tuczyć kapitalistów...

Na kopalni wybuchła strajk. Żądamy wszyscy podwyżki płac, które nie wystarczają na utrzymanie, żądamy uznania naszego związku i jego delegatów, żądamy przyznania płatnych urlopów... Na czele strajku stają towarzysze — górnicy, którzy należeli do Komunistycznej Partii Francji. Walczą oni wytrwale o zwycięstwo naszej sprawy, nie ustępują i nie poddają się podszeptom łamistrąjków. Ale po zakończonym strajku zostają aresztowani, jedni za swoją walkę zapłacili więzieniem, drudzy wyrzuceniem z pracy, innym zabroniono powrotu do miejsca zamieszkania... Wtedy zrozumiałem, kto walczy o dobro klasy robotniczej, o dobro całego narodu. Mając lat piętnaście wstępuję do Komunistycznego Związku Młodzieży Francji, aby razem ze wszystkimi świadomymi członkami klasy robotniczej, prowadzonej przez KPF, walczyć o lepsze jutro mas pracujących, o pełne wyzwolenie spod władzy kapitalistów, o socjalizm — przeciwko siłom ciemnoty i reakcji, przeciwko faszyzmowi.

Kolportowałem „HUMANITE”, rozosiłem ulotki, rozlepiłem afisze... Jest to już rok 1936. Fala rewolucyjna ogarnia cały kraj. Zbliża się Front Ludowy. Niebawem wybuchą u nas znowu strajki. W naszym osiedlu odbywa się potężna manifestacja. Pod naporem wytworzonej sytuacji politycznej — kapitalista ustępuje. Strajk wygrywamy, ale nie na długo.

Szybko mija oszołomienie zwycięstwem Frontu Ludowego. Jeszcze raz udaje się zdrajcom klasy robotniczej i narodu francuskiego sprzedać żywotne interesy Francji, oddać ją na łup naciągającego faszyzmu. Wtedy zrozumiałem, jaką rolę odgrywają w ruchu robotniczym takie typy, jak Blum czy Daladier. Zrozumiałem wtedy, co to znaczy być „rewolucjonistą” w słowach, a co znaczy to samo w czynach.

W roku 1937, po upadku Frontu Ludowego, zostają zwolnieni z pracy na kopalni za udział w strajkach i za rewolucyjną działalność w Związku Komunistycznym Młodzieży Francji.

UWAGA! KOMUNISTA!

Często zastanawiałem się (a było to jeszcze wtedy, kiedy miałem pracę) dlaczego ja i wszyscy moi towarzysze, szliśmy do roboty niechętnie, dlaczego górnicy musieli na dole poganiać dozór i mimo że przywiązaliśmy się do naszej kopalni, wprost nienawidziliśmy miejsca naszej pracy, każdego nowootwartego pokładu, każdego nowootwartego chodnika... Jak gdyby jakiś ciężar, brzemień jakieś ciążyło na nas...

— Nie chce się wam pracować — mówili niekiedy do nas. Kiedy zostałem bez pracy, zyskując sobie w koncernie węglowym opinię niebezpiecznego wyrotowca, niejednokrotnie zgłaszałem się do kopalni po robotę... Zaczęłem szukać pracy, bo nie miałem z czego żyć. Chciałem pracować, ale ile razy przychodziłem po pracę... odmawiali.

Oto stoję przed okienkiem kopalni „ARCHEVEQUE”. Pytają o imię i nazwisko. Mówię im, a oni zaczynają szukać w kartotece. Ka-

żę mi czekać, a sami dzwonią do kopalni „VILLMAN”. Po chwili mówią:

— Bardzo nam przykro, monsieur Zieliński, ale nie możemy pana przyjąć...

Potem stoję przed okienkiem kopalni „SAINT MARI”.

To samo. Niestety, nie mogą...

Potem stoję przed okienkiem kopalni „ERSCHA”.

To samo. Bardzo nam przykro, ale niestety...

Potem przed okienkiem kopalni „ESCARPEL”... Potem przed okienkiem kopalni „ESCARPEL II”... Potem przed okienkiem kopalni „BILLIMON TEGUI”...

Niestety, bardzo nam przykro, ale do pracy przyjąć nie możemy.

Czerwonym, mocnym ołówkiem podkreślona była na mojej karcie personalnej adnotacja dyrektora kopalni „VILLMAN”, który mnie wyrzucił z pracy za udział w strajku: „BON OUVRIER MAIS MAUVAISE TÊTE”... Dobry pracownik, lecz zła głowa. Oznaczało to: UWAGA! KOMUNISTA!

Mimo, że chciałem pracować, nie było dla mnie pracy w całym departamencie. Kapitałiści często się między sobą kłócili, ale w tej sprawie byli bardzo solidarni. Wędrowała za mną karta personalna, innym razem dyskretny telefon dyrektora kopalni przetrząsał o niebezpiecznym robotniku.

Nie było rady, musiałem zrezygnować z pracy na kopalniach w naszym departamencie. Po prawie rocznym poszukiwaniu pracy wyjechałem do departamentu Pas de Calais, gdzie udało mi się dostać robotę w hucie „PINANT ROXAL”, położonej w miejscowości Noil Godeaux. Aby otrzymać tę pracę, jeździłem codziennie 40 km i wystawiałem w ogonku przed okienkiem tej huty. Pewnego dnia zachorował maszynista kranowy. Przyjęli mnie na jego miejsce i tak pracowałem trzy miesiące, aż maszynista wyzdrowiał. Wtedy mnie znowu zwolnili, bez odszkodowania, z radą, żebyśmy poszli sobie do kopalni nr 8 (FOS VIII) w Coursel les Lances, bo tam, zdaje się, potrzebują robotników. Poszedłem do tej kopalni, zapisali mnie i kazali przychodzić codziennie, może się znajdzie kiedyś jakaś praca... Wreszcie pewnego dnia wyszedł jakiś urzędnik, zmierzając do stóp do głowy i ponieważ byłem nieco wyższy od swoich towarzyszy — kazał zaczekać i po chwili zapisał na listę pracujących. Przeprowadziłem parę dni, a on żąda ode mnie, abym dał mu „certyfikat”, czyli zaświadczenie z poprzedniej kopalni, gdzie pracowałem... Oznaczało to, że jeśli mu dam swoją kartę z kopalni „VILLMAN” — to znowu mnie z pracy wyrzucą... Kręciłem, jak mogłem, tłumaczyłem mu, że to daleko jeździć, do departamentu Nord, że nie mam na to pieniędzy, wreszcie, znużony, przyjął mnie i zapisał na stałe na podstawie mojej „fiszki” z tej kopalni, czyli odcinka listy płacy... Tam pracowałem do roku 1939.

NA ROBOTACH PRZYMUSOWYCH I W RUCHU OPORU

Wiedź o wkroczeniu Niemców zastaje mnie na tej kopalni. Jestem już rębaczem, najmłodszym rębaczem na kopalni. Uciekam do Barrois, gdzie pracuję przez osiem dni... Po ośmiu dniach miasto zajmują Niemcy.

Zgubna, sprzedajna, zdrazińska polityka Blumów, Daladierów, Flandinów i Lavalów, którzy sprzedali Francję i jej naród wydali na łup hitlerowców — dosięga i mnie. Jestem zmuszony ukrywać się. Uciekam do Saint-Leges, gdzie udaje mi się dostać pracę u bogatego chłopca. Zostaję zaświadczeniem. Niedługo jednak trwa praca u niego. Nie mogłem pozostać na miejscu dłużej niż parę tygodni. Zaczyna się odtąd nieustanna wędrowka od jednej miejscowości do drugiej miasteczka, od jednego chłopca bogatego do drugiego, w ciągłej obawie, że natrafiają na

moje ślady. Aż w r. 1942, kiedy jechałem pociągiem, na stacji Cinquiten łapią mnie i wywożą do obozu koncentracyjnego na Gernsny. Jest to wyspa, leżąca między Anglią i Francją. Spędzam tam na robotach przymusowych pół roku. Po odebraniu wszystkich dokumentów przewożą nas z powrotem do Francji i osadzają w obozie, niedaleko portu Brest. Stąd udaje mi się uciec i po krótkim czasie ukrywania się nawiązuję kontakty i wstępuję do Francuskiego Ruchu Oporu. Pracuję jako łącznik, objeżdżam lotniska niemieckie i dostarczam materiałów wywiadowczych, jednocześnie organizuję dostawę materiałów pędnych dla komórek motoryzacyjnych Francuskiego Ruchu Oporu... Dzięki potężnej ofensywie Czerwonej Armii siły hitlerowskiej maszyny wojennej legły w gruzy. W roku 1945 udaje się do kopalni „BARROIS” i zaczynam od nowa pracę.

ROZMOWA Z INŻYNIEREM FRANCUSKIM

Bywało, stoimy przy ścianie albo leżymy we dwójkę zaopatrzeni w pneumatyczne młoty. O metr ode mnie stoi mój towarzysz. Nie dalej niż metr, ale ja go nie widzę, ani on mnie. Z węgla wydobywa się stale gaz, cholerny gaz. We wszystkich kopalniach francuskich jest ten gaz. Piętnaście lat wdychałem ten gaz, towarzysze. Piętnaście lat, pomyślcie.

Pewnego dnia przychodził do mnie na dół francuski inżynier kopalniany i powiada:

— Dlaczego pan chce wyjechać, monsieur Zieliński, przecież pan nie jest Polakiem, właściwie jest już pan na wpół Francuzem! Po co pan wyjeżdża?

Powiedziałem mu, że płuca zostawiłem we Francji, ale serce mam z Polski. Że chcę pracować dla siebie, że mam dosyć pracy dla innych, dla kapitalistów i akcjonariuszy...

— Podwyższymy opłatę za wózek... wprowadzimy więcej wentylatorów... — kuśił mnie inżynier.

Pomyślałem wtedy o swojej pracy i walce moich towarzyszy. Pomyślałem o tych, którzy niedawny strajk i wiele innych zdusił przy pomocy policji i wojska. Pomyślałem o kraju, z którego ojciec kiedyś wyjechał za chlebem, a który teraz wrywa do siebie, do pracy i odbudowy.

Gdy powiedziałem, że chcę zmienić „klimat”, że chcę oddychać wolnym powietrzem, Francuz był zdumiony...

13 lipca 1946 — to dzień, w którym dotknąłem pierwszy raz ojczystej ziemi. Był to pamiętny dzień w naszym życiu.

Zaczęłem pracować na kopalni „Makoszowy”, należącej do Głiwickiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego. Jest to piękna, zmechanizowana, nowoczesna kopalnia. Po paru latach, kiedy odejźdżałem do Katowic na inne stanowisko, bardzo żał mi było tej kopalni. Przywiązałem się do niej i trudno było mi się z nią rozstać.

Nic dziwnego. Pracowałem pierwszy raz w życiu na naszej, własnej kopalni. Bez kapitalistów. Bez wyzyskiwaczy.

TERAZ WEŹMIEMY SIĘ DO PRACY

Gdy jechałem pierwszy raz na dół, byłem oszołomiony! Co za węgiel! Co za bogactwo! We Francji inżynier, idąc chodnikiem przewożowym i widząc leżący na ziemi kawałek węgla, podnosił go niemal z nabożeństwem wrzucał do wózka:

— C'est l'or! — to złoto — mówił. A tu za jednym zamachem, za jednym ładunkiem materiału wybuchowego, za jednym strzałem obsypują się wspaniałe kęsy twardego, czystego węgla. I to wszystko jest nasze, własne, należy do nas!!!

Eh, pomyślałem sobie, teraz weźmiemy się do pracy. Teraz, towarzysze, wyprostujcie kark. Poczuliście się zupełnie innym człowiekiem. Teraz zrozumiałem, skąd brała się niechęć do pracy u mnie i u wszystkich robotników, którzy pracowali na kopalniach francuskich! Dość niewolniczego trudu dla wyzyskiwaczy, dla kapitalistów, żyjących z naszego potu i z naszej pracy! Teraz, towarzysze, pracujemy dla siebie, dla własnego kraju, w którym władza należy do rąk ludu, w którym fabryki, huty, kopalnie stanowią własność całego narodu! Kraj potrzebuje węgla, jak najwięcej węgla? My go mamy, towarzysze!

I oto pewnego dnia po całym kraju rozlega się wołanie:

„Wzywam do współzawodnictwa towarzyszy rębaczy z innych kopalni! Kto wyrębie więcej węgla niż ja?”

Podpisano:

Wincenty Pstrowski
rębacz kopalni „Jadwiga” w Zabrze

Lotem błyskawicy rozeszło się to wezwanie, nie po wszystkich kopalniach naszego zagłębia. 16 września 1947 roku otrzymałem wezwanie od mego towarzysza pracy z tej samej kopalni:

„Ja, Kocot Wilhelm, wzywam Zielińskiego Czesława do współzawodnictwa pracy i zobowiązuje się osiągnąć normę wydajności w 170 procentach. Ile zrobisz więcej?”

Podpisano:

Kocot Wilhelm
rębacz kopalni „Makoszowy”

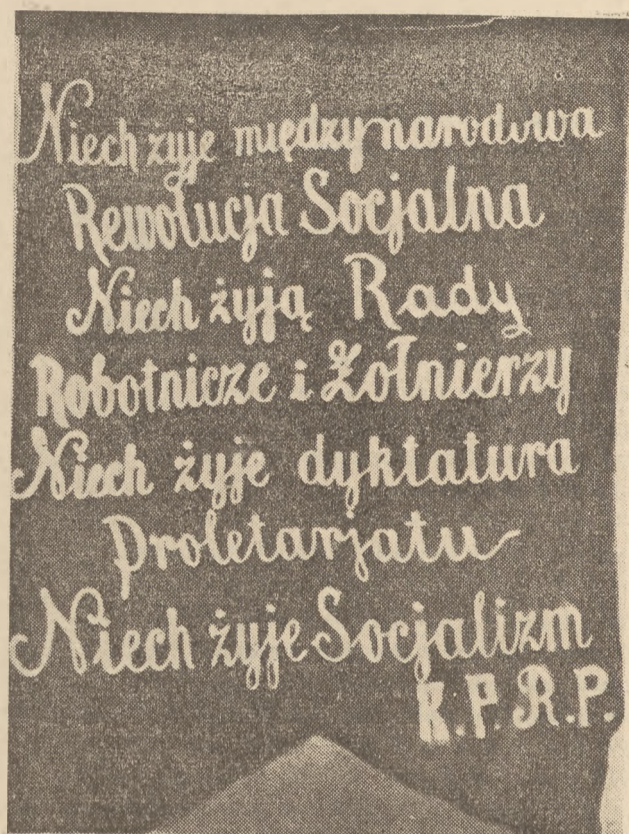
Tego dnia przyjąłem wezwanie. Był to drugi pamiętny dzień w moim życiu.



W kopalni węgla

Fot. J. Jaraczewski

1 M A J (1918—1939)



Jeden ze sztandarów wywieszonych przez warszawską organizację KPRP na początku 1919 r.

„Łodzianin” 26 maj 1923.

„O ZAJŚCIA Z DNIA 1 MAJA”

„Sprawą masakry robotników, urządzoną w dzień 1 maja przez organa policji w Łodzi zajęły się energicznie nasze władze partyjne: łódzki OKR i CK PPS. Obciążający materiał zebrany przez naszych towarzyszy wykazuje dowodnie, że policja dopuściła się gwałtu i nadużycia władzy”.

„Łodzianin” 18 kwiecień 1925.

„Wobec jawnie prowadzonej akcji zmierzającej do zniesienia 8-godzinnego dnia pracy, kas chorych, płatnych urlopów i szeregu innych praw robotniczych, klasa robotnicza Łodzi zmanifestować musi dnia tego dobitnie, że wszelkie te wysiłki rozbijają się o mur zorganizowanych szeregów robotniczych”.

KOMUNISTYCZNA PARTIA ROBOTNICZA POLSKA
(Zjednoczone S.D.K.P. i L. i Ławice P.P.S.)

W ciągu ostatniego tygodnia aresztowano szereg działaczy robotniczych i członków RADY DELEGATÓW.

O mocy rozorganizowano liczne organizacje robotnicze.

Do protestu, towarzysze, przeciw tym gwałtom kontrrewolucji!

DO WALKI! ROBOTNICZY!

Stawcie się w NIEDZIELĘ dnia 29 b. m. na PLAC SĄSKI
WIEC o godz. 2-iej p.p.

Odezwa KPRP z 1918 r.

„Łodzianin” 9 maj 1925.

„Pan Barciński nie chciał, by robotnicy świętowali 1 Maja, a jednak świętowali!”

„W fabryce pana prezesa Barcińskiego mieszczącej się przy ul. Tylnej, robotnicy od półtora roku pracowali tylko 4 dni w tygodniu, od poniedziałku do czwartku. Ponieważ w tym roku 1 maj wypadł w piątek, a więc p. Barciński pragnął przeszkodzić świętowaniu robotników i pracę przesunął od wtorku do piątku — i taki „manifest” podał robotnikom do wiadomości.

„Na zebraniu robotniczym postanowiono nie przyjść w dniu 1 maja do pracy i z wyjątkiem paru starszych kobiet nikt do pracy nie przyszedł.

„Manifestacja w dniu 1 maja wypadła w Łodzi poważnie pod względem liczebnym, imponująco i dumnie...”

Posel komunistyczny Stycka na placu Wolności zaczął przemawiać do zebranych. Skończyła z tego policja i zabrała do komisariatu 640 osób. Aresztowanych po stwierdzeniu ich tożsamości wypuszczono. Zatrzymano około 40 osób, przeciwko którym sędzia

śledczy prowadzi dochodzenie o rzekomo popełnione przestępstwa. Od rana miasto przybrało niepokojący wygląd. Na czele pochodu ruszyli dzieci „Ogniska Robotniczego”, wydziału wychow. dziecka, ze sztandarami. Za dziećmi OKR ze sztandarami szli więźniowie polityczni — dzielnic w porządku alfabetycznym, organizacje kobiet, Związki Zawodowe, TUR, Klub Kobiet Pracujących i tysiączne tłumy... Nawet prasa burżuazyjna przyznaje, że takiego pochodu w Łodzi jeszcze nie widziano...”

Pochód witają liczni przechodnie, mężczyźni zdejmują kapelusze przed czerwonymi sztandarami. Ten symbol walki, krwi przeleanej przez robotników wzbudza szacunek”.

„Robotnik” 1926, maj.

„Obchód tegoroczny obchodzono w czasie wielkiego kryzysu gospodarczego i masowego bezrobocia, które spowodowały straszną nędzę i głód wśród setek tysięcy proletariatu pozbawionych pracy”.

„Republika” 1 maja 1926.

„Od kilku dni policja polityczna przeprowadza rewizję i aresztowania wśród wybitnych członków centralnego kom. Komunistycznej Partii i zw. młodzieży komunistycznej. Wczorajszej nocy aresztowano około 100 osób ze związku młodzieży kom. Prócz tych zapobiegawczych środków władze bezpieczeństwa zmobilizowały wszystkie siły policji i sprowadziły z Pomorza kilkuset policjantów. Między innymi policja warszawska została zaopatrzona w łzawiące granaty, którymi w razie potrzeby będzie rozbijać tłumy”.

„Robotnik” 7 maja 1926.

„Dnia 1 maja już od wczesnego rana całe miasto było otoczone kordonem policji i wojska celem niedopuszczenia do miasta nadchodzących z okolicznych wsi włościan i robotników. Nawet kobiety i dzieci, udające się do miasta z nabiąm i do kościoła prawosławnego dla święcenia jaj (była to prawosławna Wielkanoc) zawracano z drogi i wpuszczano do miasta tylko za przepustkami wydawanymi przez okoliczne posterunki policyjne.

Ludzi rozpędzano kolbami i bito, zaś w samym mieście konne i piesze patrole policyjne nie pozwalały ludziom na zbieranie się w grupkach. Doszło do tego, że sam starosta w nadmiernej gorliwości jadąc samochodem rozpędzał ludzi szpicrutą”.

„Niezależny Chłop”, organ „Niezależnej Partii Chłopskiej” w nr. 20 z dnia 2 maja 1926 roku w artykule wstępnym pt. „1 Maja” m. in. pisze:

„...I w Polsce ludzie pracy są rozbici. Zdradziecka polityka ugodowych partii robotniczych i chłopskich uczyniła wszystko, aby walkę pracujących o prawa swoje, o ziemię i władzę złamać... Uczyniono wszystko, aby klasę robotniczą rozbić i rozbroić, do jedności robotniczo-chłopskiej nie dopuścić, a wszystkich pracujących pograć w otchłań nędzy i ucisku.

„Straty klasy robotniczej w rozbiciu poniesione powetuje wielokrotnie nowa potęga! Jest nią zorganizowana dla prawdziwej, szczerzej walki o wolność prawa i własnej pracujących — klasa chłopska.

Pierwszy raz chłopcy w Polsce zorganizowani w Niezależnej Partii Chłopskiej, głośno całemu światu oświadczają, że Święto Majowe jest także chłopskim świętem! Pierwszy

to raz miliony rąk robotniczych i chłopskich spłótą się w bratnim uścisku, policzą i zdwoją swe siły na walkę i zwycięstwo.

Niech więc wszyscy chłopcy, świadomi znaczenia jednolitej siły chłopsko-robotniczej dla walki o Polskę Chłopsko-Robotniczą staną w dniu 1 Maja do apelu! Niech wspólnie z robotnikami policzą swe szeregi i dzień ten zużyją na ich podwojenie...”

„Łodzianin” 1928, maj.

„Większość fabryk i tramwaje nieczynne. W pochodzie naliczyliśmy 12 orkiestr i 47 sztandarów, nie licząc niezliczonej ilości transparentów...”

W magistracie i na robotach miejskich zamarła wszelka praca. Samorząd socjalistyczny uznał 1 Maja za dzień świąteczny. Na gmachu Rady Miejskiej powiewa również czerwony sztandar. W myśl zapowiedzi pochód udaje się na Polesie Konstantynowskie, do pomnika bohaterów poległych w walce z caratem w latach 1905—7, do pomnika wzniesionego w 1921 r. przez pierwszego socjalistycznego magistrata...”

Prasa burżuazyjna przed 1 majem zachowała się zupełnie nieprzyzwoicie, a „Rozwój” to nawet podając uchwałę władz samorządowych o tym, że 1 maj jest świętem pracy i że na ratuszu będzie wywieszony czerwony sztandar, popadł w szał domagając się od władz, by zabroniły zawieszania sztandaru jako symbolu wrogiego mocarstwa, prowokującego godność narodu polskiego. Lecz potężna manifestacja odebrała prasie burżuazyjnej głos tego stopnia, że ta nawet nie usiłowała podawać, jak to było dotychczas, że w pochodzie brało udział „kilkadziesiąt” osób. Przyszli do przekonania, że w takie kłamstwa nie uwierzą nawet ich bezkrytyczni czytelnicy.”

„Łodzianin” 1931, kwiecień.

„W niesłychanie ciężkich warunkach ludność pracująca Polski będzie obchodzić tegoroczne święto majowe. Bezrobocie, głód,

w dniu 1 maja zostały uruchomione. Pomimo tych wszystkich starań w całym szeregu fabryk część robotników nie stawiała się do pracy”.

„Tydzień Robotnika” 1 maj 1935.

„Dnia 1 maja strajk powszechny, Łódź proletariacka manifestuje o rząd robotniczo-chłopski, o pracę dla bezrobotnych, o 6-godzinnny dzień pracy, przeciw sanacji i endecji, przeciw wojnie i militarystyce, przeciw faszystom, antysemitom, służącym międzynarodowej burżuazji, za upaństwowieniem fabryk, kopalń, folwarków, dużych kamieniołomów, za obroną umów zbiorowych, za pokojem”.

„Tydzień Robotnika” 12 maj 1935.

„W kilkanaście minut po wyruszeniu manifestacji ktoś nagle rozwinął na ul. Głównej sztandar komunistyczny (dalszy ciąg skonfiskowany przez cenzurę — przyp. nasz)”.

„Strach ma duże oczy”: O ile przy pochodach sanacyjnych, fraków i ZZZ nie było ani jednego policjanta, w okolicach Wodnego Rynku skonfiskowano całe oddziały policji w stalowych chełmach i pełnym uzbrojeniu. Do Łodzi sprowadzono nawet policję z okolicznych miast i powiatów...”

„Ci wszyscy domorośli politycy... co przewidywali niejednokrotnie bankructwo marksizmu, przekonali się, że w dniu 1 maja masy proletariackie Łodzi pozostały wierne socjalizmowi, chcą walczyć o swoje prawa i o chleb codzienny”.

„Tydzień Robotnika” 9 maj 1937.

„Sprawa Hiszpanii wysuwa się na czoło. Odezwe 1-majową poświęca się walce ludu hiszpańskiego przeciw napaści hiszpańskiego i międzynarodowego faszystwu”. „Ku Hiszpanii zwracają się oczy mas pracujących całego świata”. „Nie wolno lekceważyć faszystwu polskiego. Ofensywa faszystwu trwa. Przerwany na jednych odcinkach próbuje się odegrać na innych”.



Demonstracja w dniu 29 grudnia 1918 r.

nędza — oto trzy słowa kryjące w sobie straszną treść, morze niedoli, cierpień ludzkich. Niedola i cierpienia są dzisiaj udziałem mas pracujących”.

„Łodzianin” 9 maja 1931.

„Od rana przed lokalami zbiórek zbierały się tłumy towarzyszy, choć przemysłowcy starali się przeciwdziałać zgromadzeniu się robotników. Jedni czwartkowe wypłaty przenieśli na piątek — bo w tym dniu był 1 maj. Inni pracujący od poniedziałku do czwartku — w tym tygodniu rozpoczęli we wtorek, aby robotników pracujących 4 dni w tygodniu zmusić do pracy w dniu 1 maja. A nawet specjalnie w bieżącym tygodniu te fabryki, które czynne są dwa dni w tygodniu,

„Tydzień Robotnika” 8 maj 1938.

„W robotniczej stolicy Polski — Łodzi szło 75,000 osób ze stu sztandarami. Razem z robotnikami udział w pochodzie brali delegaci Klubu Demokratycznego i Stronnictwa Ludowego”.

„Zapamiętajcie te zbrodnie endeckie”: Kielce. Gdy pochód szedł obok lokalu endecckiego, endecy zrzucili z balkonu ulotki i kamienie. Poznań. — Pałkarze bili niewiasty pałkami i obrzucili kamieniami. Lwów. — Podczas przemarszu pochodu obok gmachu politechniki banda endeckich studentów rzuciła w tłum 4 petardy. Około dwudziestu osób odniosło rany. Grodno. — Bójówka endecka napadła na szeregi robotników żydowskich”.



Robotnicy Krakowa na zdobytym samochodzie pancernym, 1923 r.

Bertold Brecht

BÓG WOJNY

Ujrzałem boga wojny.
 Stał na krawędzi pomiędzy przepaścią a ścianą skalną.
 Bił od niego zapach zwietrzałego piwa i karbolu.
 Demonstrował przed wyrostkami żwawość ruchów, został
 bowiem odmłodzony
 przez pewnego profesora.

W podnieceniu wilczym głosem starał się wszystkich przekonać
 o swym sentymencie do młodzieży.

Obok stanęła jakaś wymęczona kobiecina i dygotała.

Ale on nie zawstydział się, przemawiał dalej.

Przedstawiał siebie jako Wielkiego Budowniczego.

Opowiadał, że napelni wszystkie spichrze,

Chociaż je opróżniał.

Zaczął rozdawać biednym ludziom po kawałku chleba,

który im uprzednio skrycie odebrał.

Głos jego brzmiał raz głośno, raz znowu cicho, jednak stawał się

coraz to gwałtowniejszy.

Głośno — mówił o nadchodzących Nowych Wspaniałych Czasach,

Cicho zaś — pouczał kobiety, w jaki sposób mają warzyć strawę

z wron i mew.

Nagle poruszył się niespokojnie.

Wyglądało to, jakby się obawiał, aby go nie pchnięto sztyletem.

I przez pięć długich minut przekonywał zebranych, że właściwie

zamierza powiedzieć tylko parę słów.

Przełożył T. Chrościelewski

Joseph Seamon Cotter Jr.

BRAT

Przychodzi brat
 I każe nam w obliczu boga naszego stanąć.
 A gdy staniemy przed bogiem,
 Rzeknę:

Panie, nie znam nienawiści.
 Nienawidzą mnie.
 Nie obilem nikogo,
 Zostałem ochłostany.

Nie pożądam niczyjej ziemi,
 Wyrzucono mnie z mojej.
 Nie wyszydzam niczyjej rasy
 Moja jest pośmiewiskiem.

Bracie, co odrzekniesz?

Przełożył T. Chrościelewski

Tadeusz Różewicz

GŁOWA W PRÓŻNI

Jeżeli myślisz, że jesteś
 piękną głową
 osadzoną
 na szczycie

Jeżeli myślisz, że jesteś
 obrotną głową
 nieruchomego kadłuba
 który grzęźnie w ziemi
 krwi i bydłym gnoju

Jeżeli myślisz, że krążysz
 po czystych okręgach intelektu
 dokąd z dołu dochodzi tylko
 pomruk zgiełk
 i mlaskanie masy

Jeżeli tak myślisz
 to jesteś głową
 która kołysze się lekko
 w wyludnionym powietrzu

jesteś głową
 która zostanie odjęta
 i odrzucona.

1949

NOWE SŁOŃCE

Słyszę chrobotanie
 To ta staruszka drapie
 pazurkami po ścianie
 i kaszle jak zwierzątko

Więc idę do niej
 siadam przy okrągłym stole
 a ona wywołuje duchy
 ze spodeczka popija herbatę
 drobnymi jak ptak łykami

Na etażerze panowie
 z bródkami
 jenseits von Gut und Böse
 ostatnia ćwierć XIX wieku

Potrząsa suchą główką
 i opowiada o Wenecji
 Florencji o słońcu Italii
 Ja jestem baronówna z domu

To jest koniec świata
 teraz nowe gwiazdy wymyślili i słońca
 — mówi —
 i oczy zachodzą jej łzami

1949

Witold Wirpsza

W MARSYLII

Mogło się to dziać rok albo dwa lata temu,
 w kraju, w którym walka klas ma ostatnio
 szczególnie ostre oblicze i gdzie robotnik wie,
 że broni wielkich tradycji swego narodu.
 Te wiersze wstępu, pisane językiem suchym,
 to obrona przed zarzutem, że jestem, jak Francuz,
 sentymentalny.

Gdy port w Marsylii zapalał światła na dźwigach
 nad smugami syren okrętowych,
 gdy niebo było przejrzyste i ciemne, jak włosy dziewczyny
 i odległe w gwiazdach i złote w gwiazdach,
 stało u nadbrzeża dwoje młodych ludzi.
 Noc skryła plamy oliwy na wodzie,
 był sierpień i Orion wyraźny.

„Patrz“ — powiedział chłopiec — „kiedy się pobierzemy,
 i kiedy synowie nasi wypłyną, krzepcy, na morza,
 oddam ci wszystko dokoła. Tobie będą okręty
 wozic z nad jezior Afryki złocistą kość słońsiową,
 którą Murzyn, śpiewając załaduje na statek,
 pływający pod jego własną, murzyńską banderą.
 Tobie się dźwigi pokłonią, gdy przyjdiesz o włosach siwych,
 tobie krzyknie syrena wesoło, że świat jest wolny.
 Przestrzeń nasza do gwiazd, gdy zdobędziemy niebo,
 gdy siadiesz, zmęczona, wieczorem, przestrzeń twoja do gwiazd.
 I wspomnisz, kiedyś, o zmroku, przy lampie, co czoło wygląda,
 że cię kochałem w czas trudny, że w trudny czas walczyłem.“

Otoczył ją potem ramieniem i pocałował w usta.
 Wyszli z portu On wrócił
 do swego pokoju i ze współlokatorem
 omawiał sytuację strajkową, mówiąc, że jest nielekkie.
 Ona niechętnie podeszła do domu, w którym jej matka
 czekała już z wymówką i ułożonym zdaniem:
 „Młoda dziewczyna, ze schadzki wracając po północy,
 winna wiedzieć, że nie ma dla niej żadnej przyszłości.“

Jerzy Miller

DROGA

Poprzestając na małym
 musielibyśmy zarzucić wszystko,
 miłość ludzi, przyjaźń prawdziwą,
 nadzieję i wolność samą.

Idziemy krokiem ociężałym,
 albo wzbijamy się lotem dysku,
 nikt z nas nie odpoczywa,
 nie widzimy opuszczonych ramion.

Wykonujemy dwie rzeczy jednocześnie,
 chcielibyśmy zaczynać trzecią,
 trasa nasza daleka i okrężna,
 ścian nienawiści nie kruszy się czołem.

Jesteśmy jak matki śmieszne
 nadskakujące dzieciom,
 miłość jest naszym, przez nas
 nieopanowanym żywiołem.

W SŁOŃCU

Za odległością też kochają
 w miłości swej zapamiętali
 Są ludzie którzy w obcym kraju
 nie żywią nienawiści wcale

Oliwa z trybów splywa też
 i księżyc wspina się nad mur
 i ciasto wydłubują z dzież
 dzieci wiodące śmieszny spór

podnosząc ojców swych zalety
 Tych ojców co się muszą kłaniać
 przed szefem no bo jeśli nie tr
 wylecą z pracy niespodzianie

Światło przenika przez odległość
 Za odległością też wóz z ceotą
 Za odległością też dzień życia
 poczyna wzbijać się nad los
 Za odległością też pszenica
 w majowym deszczu wznosi kłos

NOC SIERPNIOWA

Górskie słońce prędko się ukrywa
 za górą lodową i niknie
 inną strefę planety ogrzewać
 Przed tą tajemnicą zamilkł sztygar
 gdy ostatnia blasku zabłysnęła mika
 aby odejść za góry i drzewa

Dostaliśmy gwiazdy i czerwony księżyc
 po dniu białym i czystym jak potok
 do spoczynku Lecz nie śpimy jeszcze
 bo rozwidlił się i rozgałęził
 łuk świetlików jak stopione złoto
 On je wtedy widział po raz pierwszy

Nie wywiozą z werandy Całą noc
 będzie leżał z otwartymi oczyma
 Będzie pytał Czy za Uralem
 słońce grzeje teraz i może się wspiąć
 ponad huty gdzie się topi cyna
 Czy teraz jest wieczór Czy wstaje poranek

Była noc stworzenia człowieka
 z biedaka o kawernach w płucach
 Było to odejście a mogło być powiecie
 Ścianka siły była cienka jak powieka
 Jak ryba w oka sieci się rzucał
 Była noc sierpniowa walki o życie

Zbigniew Sto'arek

MIGAWKOWE ZDJĘCIE
RAK ŻEBRACZKI

Z szyldu wysokiego: „Sklep kolonialny“
 nic zerwać nie mogły wyciągnięte ręce.
 Pod murem przykucnęły. Nie chciały ich karmić
 żadnych reklam tęcze.

Złe ręką wróżył (z ulicznych afiszy)
 jasnovidz Pyfello.
 — nie zatrzymają takie ręce sytych
 uśmiechów ani portfeli.

— — — Ręce nie krzyczą.
 I choć już nieme, wciąż stają się cichsze
 — jak przez uliczników
 ślepe szczeniaki utopione w Wiśle.

Milczą... Tnie deszcz
 po rękach — po ruinach z 1939
 — to tu, w ruinie dzisiaj bezdomnej, przed wrzesniem
 była redakcja. Pisali. Pisali: „Rząd R. P. obywatelowi zapewni!..“

W Y P O W I E D Z I

Józefa Witowska

Jest sposób na inny w świecie ład...



Józefa Witowska

Urodziłam się w miasteczku, gdzie mój ojciec był robotnikiem w browarze. Właściciel tego browaru miał jedno-cześnie dużo ziemi, więc nazywano go dziedzicem. Chodził on stale z psem i kijem, sam o czwartej budził ludzi. Całowali go w rękę nie tylko mężczyźni, lecz i kobiety, noszące mężom obiady. Jeżeli zaś która udawa, że go nie widzi — podchodził, udzierał laską w plecy i mówił:

— Co, mordę ci zapieczętowano, osłepłaś?

Spotkało to i moją matkę. Ojciec, uderzony przez dziedzica pokłócił się z nim i już nie wrócił do pracy w browarze. Dziedziczka też nie była lepsza. Za ładą przewinienie brała pokojową za włosy i tłukła głową o ścianę — nieraz do nieprzytomności. Byłam u niej jakiś czas do dzieci, to widziałam i sama doznałam jej ręki.

Po śmierci ojca (umarł, gdy miałam siedem lat) służyłam u pewnej urzędniczki, która mnie głodziła przy swej pobożności. Chleb był zawsze suchy, resztki po jej dzieciach, zaś do zup i kawy dolewała mi wody. Dla lepszych figur z miasteczka, jak ksiądz i nauczyciel, było jednak wszystko na proszonym podwieczorku. Pani ta, gdy zobaczyła u mnie książeczkę z bajkami, wyrwała mi ją, mówiąc, że to nie dla mnie zajęcie. Zazdrościłam wówczas koleżance, której pani, Żydówka, nie tylko nie broniła czytać, ale sama ją uczyła. Moja pani nie pozwoliła mi z tą koleżanką rozmawiać, gdyż to „żydowska służba”.

Zachorowawszy na anemię byłam potem czas jakiś w szpitalu, pomagałam w kuchni. Dla Sióstr tam było wszystko lepsze, miały desery, zaś chorzy i służba — krupnik, zalewajkę. Nie lepiej też działo się w przytułku dla starców, na koloniach

Maria Kościńska

Obyczajowa tematyka

Moje próby pisarskie tematycznie najczęściej obejmują zagadnienia obyczajowe na wsi. Z tego zakresu były drukowane we „Wsi” fragmenty: „Na Wydarty” (z opowiadania „Niedziela na Wydarty”), „Podęgrodzki matac” (z noweli pod tym samym tytułem), „Porachunki pod jabłonią” (rozdział z opowieści).

„Niedziela na Wydarty” — to tok przedwojennego dnia niedzielnego na wsi, w tym, że ten świąteczny dzień jest wypełniony przed południem — kościelnymi nabożeństwami, po południu — pogawędkami.

Pogawędki te ograniczają się najczęściej do zakresu spraw głęboko zakorzenionych w zabobonie religijnym.

Nawet szerzona, ale jak niepowszechna i o jakiej treści, oświata nie potrafiła usunąć radykalnie przesądów mających źródło w zabobonie i magii religijnej. Z zakorzenionym głęboko zabobonem jest

dla biednych dzieci. Dla Sióstr były kurczaki, duszone jarzyny w maśle, buliony i kakao, jajka, dla dzieci — kakao z mąką kartoflaną, miast jajek do klusek — szafran... Starcom w przytułku kraszono tylko skwarkami, Siostry za to wypiekały dla siebie ciastka na smalcu, choć przydziały dla wszystkich były równe. Gdy jedna z pracownic miała przy sobie dziecko, musiała je żywić z własnej porcji.

Myślałam, że mnie zbuduje służba u księdza, do którego trafiłam później. Ksiądz sam by uszedł, cóż, gdy był w szponach prościuchy — gospodyni, odbierającej mu każdy grosz, by posłać swej rodzinie. Zaś wujek księdza, który go wykształcił, gdy pozostał bez pracy z żoną — jak przyszedł pieszo do wychowanka, tak odszedł z niczym. Ksiądz tę gospodynię nazywał ciocią, lecz przekonałam się z bliska, że nie była ciocią.

Zawiódłszy się na ludziach „pobożnych”, myślałam, że adwokat, jako obrońca pokrzywdzonych wzmocni moją wiarę w ludzi, tym bardziej, że rodzina była niby religijna. Niestety sam pan adwokat okazał się pajakiem — dopóty prowadził sprawę, aż klient odszedł z niczym. Żona była godną jego przy swej oficjalnej pobożności. Nawet mnie zasług urwali, gdyż coś z bielizny przy mnie im „zginęło”. Szło oczywiście o pozór, by nie wypłacić. Tak postępowali z każdą. Skarżyć zaś adwokata, u którego na kolacjach bywali sędziowie, to byłaby historia bez końca i koszt większy niż kilka pensji.

Na koniec się dostałam — było to także już w Warszawie niedawno przed wojną — do ministra... Sam minister w swych biurach był dla ludzi niedostępny, zaś gdy pewna pani trafiła za nim do mieszkania — też nie chciał z nią rozmawiać. Odeszła z płaczem od progu. Minister tymczasem w mieszkaniu pieścił psa. Protekcji nie uznawał, chyba, że... dla najbliższej rodziny. Nie widziałam u nich żadnej nowej książki, prócz tych, jakie autorzy przysyłali z dedykacją, ale tych również nie czytano, chyba, że była sensacja. Pannie ministrowe, gdy się zeszły przy herbatce, zajmowały się wyśmiewaniem wad swych służących i omawianiem przyjęć w ambasadach. To było wszystko, czym się interesowały. Byłam zmuszona gardzić nimi w duchu, w ogóle ludźmi, których poznałam. Wszystko w nich przeczyło ich „powołaniom”; za nic mieli rzeczywistych ludzi pracy. Najlepiej czułam się u wzgardzonych Żydów i w prawosławnej rodzinie, a nawet u bezwyznaniowych, z czego doszłam do wniosku, że nie religia i bogactwo, ale coś innego musi zmienić ludzi, by nie byli, czym są — uświęconymi przez samych siebie złodziejami. Stwierdzenie tej odrażającej prawdy popchnęło mnie do pisania i podzielenia się z innymi doświadczeniem. Trzeba tak radzić, by nie było obłudy, dobrobytu tylko dla jednostek. Bo istnieją ludzie sprawiedliwi i sposób na inny w świecie ład.

trudna i ciężka walka. Przedstawiająca zmienność nadprzyrodzonych sił w życiu praktycznym satyryczna forma pisarska wydała mi się środkiem dość skutecznym i trafnym. Śmiech bowiem z tego, co przedtem budziło kult i strach, uwalnia od chorobliwego niepokoju i ślepej wiary, skoro wprowadza zrozumienie własnej niedorzeczności.

W „Podęgrodzkim matacu” — skompromitowałam wzór małżeństwa gospodarczego sprzed wojny. Awansem społecznym dla wyrobniaka, dla drobnorolnego, a nawet dla średniego jest ożenek z dziewczyną ze środowiska bogaczy wiejskich. Przez powinowactwo przekracza on przepaść dzielącą go od bogaczy.

Ponieważ w ustroju kapitalistycznym awans społeczny przez indywidualne wybiecie się zdolnościami, pracą, itp. był ograniczony niesłychanie, najemnicy wiejscy szukali również awansu w koligacjach z klasą zamożnych (oczywiście był on rza-

dki). Awansem społecznym dla biedaków było przecieranie się do klasy posiadaczy. Klasa zamożnych dawała im pozycję i egzystencję w formie posagu, czyli tzw. wianie. Mój „podęgrodzki matac”, syn małorolnego stara się drogą oszustwa połączyć węzeł małżeński z córką bogacza. W tym celu zamilcza o reszcie swego roźdzeństwa, któremu drogą dziedziczenia przypada podzielone na części małorolne gospodarstwo. Sam przedstawia się za jedynaka, czyli gra komedię małorolnego, ale wyłącznego dziedzica.

Dlaczego to czyni? Zabiegając o własną egzystencję ulega kapitalistycznemu wzorowi „ożenku z morgami”. Dopiero takie małżeństwo wydaje się jemu małżeństwem. Tu jest obrzęd i sakrament. Kościół stoi „w drugiej linii”. On tylko uświęca taki właśnie gospodarczy związek. Ale po ślubie odsłania się prawda. Bogacz, który dowaduje się o oszustwie, wydziedzicza córkę. Teraz nowożeńcy mają tylko cztery ręce do pracy, jako źródło utrzymania pozostaje im tylko praca najemna u bogaczy.

Taka opowieść obyczajowa może dziś dla walczącej wsi drobno- i średniorolnych mieć wymowę. Wykazuje niedorzeczność awansu społecznego przez „wyskakiwanie” do klasy posiadaczy. Uwalnia od iluzji kapitalistycznej, jaką obrosło tradycyjne małżeństwo chłopskie. Uczy widzieć znieprawienie, do jakiego doprowadziła kapitalistyczna wizja „towarowych” stosunków między ludźmi. Wzór ożenku z morgami zabija w człowieku jego człowieczeństwo. W półproletariackiej doli jest szansa na człowieczeństwo, które kapitalizm zabija u tych, którzy go tworzą, którzy na nim zyskują. Zdobywcą w małżeństwie może być dobór i wzajemne zrozumienie, przekreślone u kulaków morgami.

I tu, w tym innym małżeństwie tkwi klasowe przeciwieństwo. Tkwi siła do walki z porządkiem morgowym.

W „Porachunkach pod jabłonią”, pokazałam młodą dziewczynę, która umie z tradycji przeszłości chłopskiej wyciągnąć naukę postępową, umie się z tą tradycją zjednoczyć w tym, w czym ona wyrażała walkę klasową.

Sąsiedzi słuchają gadki o parobku u gązdy, bawiąc się „niepoczytalnie” zuchwałym postępowaniem parobka na spowiedzi. Moja bohaterka, młoda dziewczyna, która zakochała się w bolszewiku-komuniście, jak go zwą na wsi (przedwojennej), w „niepoczytalności” parobka

Józef Pogon

W pochodzie proletariatu wiejskiego



Józef Pogon

lekroć pomyślę o Pierwszo-Majowych pochodach robotników, zawsze przypomina mi się wyplute jadłem jedno zdanie z przedwojennego artykułu „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”: „Socjaliści wystawili czerwona płachtę... Ta więc „czerwona płachta” i manifestujące rzesze robotników służyły gnębicielom ludu za strzelniczą tarczę w rozgrywkach nieustannej walki o satry. manie starego porządku świata z jednej strony, a wywalczenie nowego — z drugiej. Manifestanci padali często od wypro-



Marla Kościńska

widzi walkę z krzywdą społeczną. Ona jedna wrzeka w mądrość dziadka, który sam stracił wiarę w lepszą przyszłość, ale przekazuje prawdę o walce i pętać biednych chłopów.

Ona kocha nową istotę społeczną — swego „bolszewika”. I jest w walce. Brat tłucze ją za miłość do „bolszewika”, broni honoru domu przed „obrazą boską”. To on wyciąga dziadka na gadki i słucha ich w rezultacie jako opowieści przedstawiającej przegraną parobka. Jak to bywało? Bywało, że przegrywał biedny chłop. To słyszysz, to rozumie i dlatego czuły jest na opinię parafialną, która bije w „bolszewika”, potępia zatem również jego istotę. On się zamienia na „domowego plebana”. Chce niepoczytalną przywieść do opamiętania. Ale w tej samej opowieści dziadkowej jest zarzewie walki w danej wsi. Jest podnieta dla jego siostry.

W „Porachunkach pod jabłonią” pokazałam dwa skrzydła postępu i walki o sprawiedliwość społeczną. Jedno, które ma tradycję na wsi, ale które samodzielnie działając było bezsilne — i drugie, które szło w pomoc wsi z zewnątrz, od klasy robotniczej, od „bolszewików-komunistów”, jedyne, posiadające moc wskrzesić chłopską tradycję walki i dać jej w sojuszu siłę zwycięskiej walki na wsi z kulactwem, z kapitalistycznymi formami porządku parafialno-klienckiego z drobnomieszczańską obyczajnością i kulturą.

dukowanych przez siebie kul, lecz nie ustawiali w ciężkiej walce i coraz liczniej skupiali się pod Czerwonym Sztandarem.

Osobiście nie brałem udziału w pochodach Pierwszo-Majowych z tej prostej przyczyny, iż nie byłem robotnikiem, bo roboty nigdzie nie dostałem, jak również nie miałem na pójście do miasta odpowiedniego ubrania i butów. Wlokłem się natomiast bezustannie w innym pochodzie — w pochodzie proletariatu wiejskiego, który nie mniej był dławiony od robotnika fabrycznego. Wlokłem się głodny i obstrzępiony w pochodzie z kosą i cepem za groszem po okolicznych dworach, do bogaczy wyciskających pot z nędzarzajemnika...

Wprawdzie ten mój „pochód” życiowy nie obfitował w zdarzenia w szerszym świecie — obfitował natomiast w przeróżne doświadczenia na tle wzajemnego ustosunkowania się między bogatszymi a biedotą. Tym bardziej, iż jako człek zbyt „ruchliwy”, za wszelką cenę pragnący utrzymać się na równi życiowej — jako nędzarz znalazłem się na skraju skrzydła jednego z tych „obozów”. To moje umiejscowienie fizyczne przy silnej pobudliwości umysłowej postawiło mnie w roli potajemnego obserwatora tych spraw wiejskiego życia, których normalnie żyjący człowiek nie potrafiłby zaobserwować. Miałem więc możliwość nie tylko poznawania panującego wśród ludzi zła, ale i częściowego wrzkania w przyczynę zła. Nad każdą, nawet mniej ważną sprawą zastanawiałem się głęboko, rozmyślałem, przetrawiałem w

Marian Niewiarowski

ZACZAROWANA TOKARNIA

Natychmiast zebrali się wszyscy. To, co się zdarzyło, było tak niesłychane, że zakrawało na skandal. To po prostu bezczelność z jego strony! Kto to słyszał? I co on sobie myśli, tak bezkarnie drwić z autorytetu inżyniera? A buchalteria nie może sobie dać rady z obliczeniem!.. Cała dotychczasowa kalkulacja bierze w łeb!.. I jak tu teraz utrzymać porządek w jego karcie, gdy jego zarobki coraz bardziej wzrastają?

Najwięcej denerwował się inżynier Gruszczyński:

— Panowie — czy wiecie, co wynika z jego karty roboczej?..

Wszyscy z obawą spojrzeli na jasną dotychczas, a teraz pełną zagadek żółtawą kartę pracy, w której kryła się tajemnica.

— Czy wiecie co to znaczy? — to wszystko jest bujda, nonsens, chimera! Nie ma człowieka, który by mógł w tak krótkim czasie wykonać podobną operację. Kogo on chce naciągać? Nie ma żadnego wykształcenia technicznego, ledwo dorwał się do maszyny, a już chce pokazać, że jest mądry. Ja nie uznaję takich obliczeń. Tu musi być jakiś błąd!

Inżynier rzucił z pasją kartę na stół.

Oburzeni byli bowiem wszyscy. Jeżeli inżynier nie wierzy, to dlaczego ma wierzyć majster? A jeżeli majster nie wierzy, to dlaczego ma wierzyć brygadier? A jeżeli brygadier nie wierzy, inżynier nie wierzy, majster nie wierzy i nikt nie ma zaufania do tej karty, to z jakiej racji kalkulator obliczył na podstawie danych z kontroli produkcji, że ten „wyrodek” robi w ciągu jednego 8-godzinnego dnia więcej, niż dotychczas pięć osób? Przecież to niesłychane, że by jeden człowiek wykonał na jednej maszynie tyle pracy, ile na pięciu maszynach wykonuje pięciu ludzi?

I wszyscy spojrzeli na Szymanka, kalkulatora.

Wtedy padł nieśmiały projekt:

— Panowie — proponuję udać się na miejsce jego pracy, sprawdzimy, czy to wszystko prawda..

I poszli.

Nie jeden z nas stojąc na stacji i oczekując przybycia lub odjazdu pociągu, obserwował nieraz kolejarza, który ze sprawnością sportowca, w chwili przyczepiania wagonu sypialnego ustawiał się między jednym wagonem a drugim i, gdy z niepokojem patrzyliśmy na mające za moment nastąpić zderzenie — on jednym zrecznym ruchem chwycił zwisający łańcuch jednego wagonu i zaczepił o drugi. Wychylał się następnie i wychodził pomiędzy wagonów, spokojny i nienaruszony.

To bowiem, co ochroniło go od niechcynego zmiądzenia, stanowi nieodłączną część każdego wagonu i nosi nazwę zderzaków. Jest to gruba rura, wewnątrz której znajdują się stalowy trzon, na jego zaś końcu osadzona jest sprężyna, łącząca trzon z widoczną na zewnątrz tarczą. Wagon przyłączeniu i doczepianiu nie zderzają się ze sobą bezpośrednio, gdyż chroni je od tego właśnie zderzak, zaopatrzony w tarczę. Od ilości taboru kolejowego zależy między innymi rozwój komunikacji. Od punktualnej dostawy stali, żelaza i węgla do fabryki produkującej wagony — zależy między innymi ilość taboru kolejowego. Produkcja zaś wagonów zależy m. in. od każdej poszczególnego obróbki tokarskiej, czyli operacji dokonywanej na każdej części, z której składa się wagon.

Robotnik, który tak zdenerwował inżyniera Gruszczyńskiego, dokonuje właśnie takiej jednej drobnej na pozór operacji na takim właśnie trzonie zderzakowym.

Bierze on taki nieobrobiony trzon grubości 75 mm, nakłada na tokarnię, dostawia nóż, puszcza motor i ścina wąskie strużki metalu z trzonu. Gdy patrzysz na to, wydaje ci się, że za chwilę z całego trzonu nic nie zostanie tylko drobne, srebrne wióry. Ale oto sprawną ręką robotnika chwytają kierownicę tokarni, zatrzymuje motor, odstawia nóż i wyjmują obrabiony trzon. Na przestrzeni kilkunastu centymetrów stracił on 21 milimetrów i teraz grubość jego w tym miejscu wynosi już 51 mm. Lśni teraz gładką, nieskazitelnie białą metalu.

Robotnik stojący przy tokarce, pracuje ze skupioną uwagą. Obserwuje jego ruchy i uderza mnie, że są jak gdyby obliczone i uzgodnione z chodem maszyny.

W tej harmonii ruchów rak i ciała z pędem i migającym pięknem — i przez chwilę zastanawiam się, co też mogło być powodem wyprowadzenia z równowagi inżyniera Gruszczyńskiego, przywykłego do przedwojennego, kapitalistycznego stosunku do procesów produkcji, do bezdusznego „roboty” przy ogłupiającej maszynie! Czy czasem niespokojne, rytmiczne tempo pracy tego robotnika, który pokochał swoją tokarnię, jak tylko robotnik pokochać może swoją fabrykę i warsztat, i wydobyl ze swojej maszyny to, co ona zazdrośnie ukrywała? Czy czasem nie fakt, że jej możliwości produkcyjnych nie mogło dojrzeć dyplomowane oko, a dostrzegło zwykłe oko, odkryły zwykłe ręce prostego robotnika?..



Uczeń-robotnik

Po chwili, gdy wkracza do warsztatu, wiązuje się krótki, ale pełen napięcia dialog:

Mówi inżynier Gruszczyński:
— Pan śmie twierdzić, panie Łykowski, że pan w ciągu dwóch minut obrabia jeden trzon? Czy pan wie, że według pana danych wynika, że pan jeden wykonuje tyle na jednej maszynie, ile przedtem musiało wykonać sześć osób na sześciu oddzielnych tokarkach? Jak to jest możliwe? I kogo pan chce oszukać?

Mieczysław Łykowski, tokarz — przodownik pracy Fabryki Maszyn Ciężkich przy Zakładach Cegielskiego w Poznaniu, odpowiada spokojnie, ale z godnością:

— Nikogo nie oszukuję. Obrabiam jeden trzon w ciągu dwóch minut, a jeżeli pan nie wierzy, mogę pokazać..

Przy tokarni stoją wszyscy, których Łykowski wyprowadził z równowagi swoim postępek. A więc, oprócz inżyniera Gruszczyńskiego, który nie może uwierzyć, aby zwykły robotnik mógł być zdolny do wprowadzenia ulepszeń w pracy, inżynier Guła, zadowolony i z ukontentowaniem patrzący na skromną postać robotnika, kalkulator Szymanek, który nie może wyjść ze zdumienia, że jakiś bliżej niezany Łykowski, kartą rejestracyjną nr 726, stał się nagle ośrodkiem zainteresowań wszystkich — Łykowski, który psuje mu poza tym porządek w obliczaniu zarobków i kalkulacji, opodal stoi usmiechnięty kierownik robót, inżynier Robak.

— No, jeżeli tak, niech pan puści motor, zobaczymy..

Jeden z obecnych trzyma stoper w rękę, drugi — notatnik, inżynier Gruszczyński oczekuje niechcynego kompromitacji nieznośnego nowatora, obserwuje z niedowierzaniem jego ruchy. Robotnicy przy innych maszynach, najbliżsi sąsiedzi, spoglądają z zaciekawieniem w ich kierunku.

Powoli mijają minuty, struga metalu opada spod tokarki na ziemię. Wreszcie słychać głos:

— Panowie, minęły czterdzieści cztery minuty..

Obok tokarni w idealnym porządku ułożona sterta trzonów, jeden na drugim, rzędami. Łykowski wyciąga motor, wyjmując ostatni trzon..

Członkowie komisji nachylają się i jeden z nich liczy.

— Razem 22 sztuki, wypada na jedną sztukę dwie minuty..

Pokazuje wszystkim stoper, a potem chwycił go do kieszeni. Wszyscy, oprócz inżyniera Guły, mają niewyraźne miny. Najbardziej skłopotaną ma inżynier Gruszczyński.

— Czy może mnie pani połączyć z warsztatem, w którym pracuje ob. Łykowski?

— Jak on się nazywa?

— Łykowski Mieczysław, przodownik pracy, co ten co wykonał 706 proc. normy..

— Chciałbym z nim porozmawiać..

— Ja nie wiem, proszę pana. Tu pracuje tylu ludzi, nie mogę pana połączyć..

— Ale on wykonał 706 proc. normy, on musi chyba być znany! Specjalnie przyjechałem z Katowic, żeby z nim porozmawiać..

— Bardzo możliwe, proszę pana, ale przykro mi, nie mogę..

(Ściszony głos):
— Słuchaj Jadzka, nie wiesz ty, gdzie tu pracuje Łykowski? Jakiś gość z Katowic chce z nim gadać, a nie wiem, co to za jeden..

— Nie, proszę pana, nie mogę panu powiedzieć. Może pana przełączyć do personalnego, oni tam chyba wiedzą..

— Pan chciał mówić z panem dyrektorem Murzynowskim? To omyłka proszę pana, pan dyrektor jest pod innym numerem..

cił czas potrzebny na otoczenie jednego trzonu i produkcja poszłaby jak nigdy..

— No i co wymyśliłicie?

— Nieraz pomyślałem sobie: może spróbować z nożami, które my nazywamy „widie”. Na naszych tokarniach nie używano ich wcale, ale to mocna i dobra stal. Pomyślałem sobie, co szkodzi? Wstawię do mojej tokarni taką „widie”, może pójdzie lepiej, w każdym razie „widia” nie potrzebuje chłodzenia..

Ale inżynier Gruszczyński kategorycznie mi tego zabronił, mówiąc, że na tych tokarniach nie używa się „widli” i tak dalej. Zagroził, że jeśli wstawię „widie”, to mnie przesunie na inną robotę..

— Co to za inżynier, który nie pozwala wprowadzać nowości i pomysłów?

— Bieda cała w tym, że on sam od trzech lat chce coś wynaleźć i nie może. Toteż, jak widzi, że któryś robotnik ma jakiś pomysł, jest zazdrosny i nie może sobie darować, że sam tego nie zrobił.

— Ah, tak. A wam pozwolił w końcu?

— Nie.

— No i co zrobiliście?

— Kupiłem sobie za własne 600 złotych taką „widie” i bez jego wiedzy wstawiłem do tokarni!..

— A to dopiero! No i jak poszło?

— Sami widziacie, od razu przekroczyłem normę, gdyż nie potrzebując już ochładzać noża, mogłem puścić maszynę na większe obroty i osiągnąć maksymalną wydajność. Osiągam przeciętnie powyżej 500 proc. normy, a niedawno miałem 706 proc.

— Czy to tylko „widia” pomogła?

— Nie tylko — Łykowski uśmiecha się porozumiewawczo.

— A co jeszcze?

— Widziacie ten kieł?

— Widzę.

— Widzieliście, jak się kręci podczas pracy maszyny?

— Widziałem.

— Otóż ten kieł był przedtem stały, a ja wprowadziłem obroty.

— A co za różnica?

— Ogromna. Bo przedtem ten kieł, tak samo jak te cholerne „baıldony” zagrzewał się, bo nie wytrzymał obrotów maszyny i musiałem go stale ochładzać wodą, tracąc na to czas i jednocześnie nie mogąc zwiększyć wydajności.

— No i co zrobiliście?

— Wyjąłem go i wmontowałem na wałek; teraz obraca się razem z trzonem. Nie potrzebuje już ochładzania, bo się nie zagrzewa i wytrzyma największe obroty maszyny.

— A to dopiero! — I to wszystko?

— Nie, nie wszystko.

— A co jeszcze?

— Która u was godzina?

— Już piętnaście po drugiej.

— Ot, widziacie, skończyłem pracę o drugiej, a teraz mój następca, który od drugiej pracuje ze mną na zmianę, miał rozpocząć od razu po mnie, a już minęło piętnaście minut, a on jest jeszcze kręci. W ciągu 15 minut ja robię 7 trzonów..

Oglądam się w lewo. Rzeczywiście stoi tam robotnik, który pracuje na zmianę z Łykowskim, ale nie rozpoczął pracy.

— Patrzcie, jak on będzie pracował!

Nim robotnik ten przygotował się do pracy, minęło jeszcze 5 minut. Wreszcie podchodzi do maszyny i puszcza ją w ruch. Dopiero wtedy bierze trzon, zatrzymuje po raz drugi maszynę i przykręca korbę. Ale i przykręcenie korby, na co Łykowskiemu wystarczał jeden ruch lewą ręką, ten traci niepotrzebnie czas i energię skomplikowanymi przykręcaniami przy pomocy obydwu rąk, raz lewej, raz prawej. Trwa to prawie minutę. Potem zaczyna toczyć i znowu trwa to dłużej niż u Łykowskiego. Wreszcie kończy i wyjęcie trzonu z maszyny znowu staje się skomplikowaną czynnością, na którą traci o wiele więcej czasu niż Łykowski. Po wyjęciu rzuca trzon — nie kładzie, jak Łykowski, ale właśnie rzuca na ziemię, gdzie wkrótce powstanie kupa leżących w nieładzie wałków. Ruchy ma nie obliczone, jak gdyby nie uzgodnione z chodem maszyny.

— Dlaczego pan rzuca te trzony, a nie układa jak Łykowski?

— A, ja je potem układam.

— Kiedy potem?

— No, jak skończę robotę.

— Jak to, to wy zostajecie po pracy tutaj?

— Ale skądże znowu? Godzinę przed zakończeniem pracy zatrzymuje maszynę i układam na ziemi trzony.

— A ile trwa tak układanie?

— Godzina, a niekiedy więcej, to ciężka robota.

— To po co robicie podwójną robotę, przecież lepiej od razu trzony układać na ziemi i nie tracić tyle czasu..

— Ja się już tak przyzwyczaiłem! Wszyscy tak robią, to i ja też.

— Ale Łykowski tego nie robi i w tym czasie, kiedy pan układa, czyli w ciągu jednej godziny, on wyrabia 30 nowych trzonów..

— Eh, Łykowski to co innego..

Patrzę na Łykowskiego. Uśmiecha się do mnie i nie widzę, żeby on był „co innego”. Jest to po prostu dobry, myślący robotnik, który kocha swoją maszynę i swoją fabrykę.

